



FUNDACJA

Moje Wojenne Dzieciństwo



Zdzisław Taźbierski

Wspomnienia z Włocławka i Bad Oldesloe

Z wybuchem wojny 1 września 1939 roku miałem równo 11 lat i 2 miesiące życia. Razem z rodzicami: Ojcem Stefanem (35 lat) i Władysławą – Mamą (32 lata), z braćmi: Mieczysławem – lat 14 i Jerzym – lat 9 mieszkaliśmy we Włocławku przy ul. Rolniczej nr 8. Ojciec przybył tutaj z Końskiego w 1923 roku. Do grudnia 1939 roku, jak i inne rodziny polskie, przeżywaliśmy dramaty odwrotu naszych wojsk i klęski wrześniowej II Rzeczypospolitej.

Zrazu, dla 11-letniego chłopca, ta wojna nie mieniła się jako globalna tragedia naszego narodu, a raczej jako ciekawe wydarzenie. Pamiętam, jak wracając ok. 12.00 w tym dniu z inauguracji roku szkolnego (!) ze Szkoły Powszechnej nr 2 we Włocławku ul. Kilińskiego, nagle na Placu Wolności usłyszeliśmy w grupie uczniów, że te warkoty samolotów nad nami nie są żadnymi ćwiczeniami Czerwonego Krzyża. Głośniki mówiły o wybuchu wojny z powodu napaści o świcie Niemców na Polskę, wzywały mieszkańców do zachowania spokoju, gdyż wróg poniesie klęskę.

Pędem rzuciliśmy się z braćmi ul. Kaliską do domu. Tutaj krzyczeliśmy do Mamy: „Wojna! Wojna!”, tak jakby zaczynała się jakaś majówka do lasu. Wszyscy trzej rzuciliśmy teczki z książkami (rańcami) i mimo protestów Rodzicielki pobiegliśmy przez drewniany płot na rampę kolejową, sąsiadującą z „naszą” ulicą. Tutaj bowiem stacjonował oddział (pluton?) polskich żołnierzy z CKM-em dla obrony dworca. Gdy samoloty niemieckie zaczęły zrzucać bomby na obiekty kolejowe (chybiły, ale dom mieszkalny przy dworcu płonął) – nasi wojacy przerwali chłodzenie się pod rampą pompy-studni, w okrzykach dowódców (plutonowego i kaprała?) celowniczo wdziewali na siebie zdjęte bluzy mundurowe i rozpoczęli przygotowania do otwarcia ognia z CKM-u. My, chłopcy, pomagaliśmy im w tych przygotowaniach podciągając „pod maszynę” skrzynki z amunicją. Gdy wreszcie otworzyli ogień seriami nad dworzec kolejowy – jeden dom przy nim płonął, a po niemieckich samolotach nie było już śladu. Takie było moje wejście do wojny z naszymi dzielnymi żołnierzami.

Z lęku przed nacierającym wrogiem Ojciec zdecydował się uciekać z rodziną, również z rodziną zaprzyjaźnionego stolarza Romana Stępina, przez Kowal z zamysłem dotarcia do Gostynina, ale o tym powiem nieco dalej. Po ok. pięciu dniach znów byliśmy w domu, porażeni lękiem przed represjami okupanta a zwłaszcza groźbą wysiedlenia „do Prus”, jak mówiono.

Do wybuchu wojny Tata utrzymywał naszą rodzinę z własnej pracy stolarza meblowego w posiadanych małym warsztacie (około 35 metrów kwadratowych) stolarskim przy ul. Rolniczej 8, usytuowanym około 100 metrów od mieszkania. Teraz (choć częściowo już także w połowie 1938 roku – jak wspominam rozmowy Rodziców o jakimś tajemniczym wówczas dla mnie kryzysie) zdecydowanie spadło zainteresowanie ludzi nie tylko meblami, ale i na wszelkie usługi stolarskie. Stąd moja rodzina

odczuwała brak środków pieniężnych na wiele potrzeb. To zaś oznaczało ograniczanie zakupów – jeśli nawet jeszcze nie żywności – to na pewno materiałów do pracy: tarcicy, sklejki, forniru, bejcy, kleju i innych do wykonania nielicznych zamówień. Przecież głównym problemem w okresie jesienno-zimowym stawał się zakup opału, zwłaszcza że już zarysowała się ciężka zima 1939/1940 roku.

Mieszkaliśmy raczej w skromnych warunkach: bez światła elektrycznego, bez wody (czerpaliliśmy ją z podwórkowej pompy), nawet bez WC. Zajmowaliśmy długą, ciemną kuchnię z piecem na węgiel (z płytą i fajerkami, ok. 16-18 metrów kwadratowych) oraz zimny pokój (ok. 24-26 metrów kwadratowych) opalany piecykiem-kozą z rurami blaszanymi. Całe mieszkanie było w ciągu parterowych, murowanych baraków (dawniej dla robotników fabrycznych) okalających fabrykę fajansu, już podupadłą w produkcji.

W tej sytuacji opał urastał do równie ważnego warunku przetrwania, jak i żywność, odzież lub poczucie bezpieczeństwa. Dlatego moi Rodzice drżeli o przeżycie każdego dnia. Słowem, zaczęły się schody, wojna ukazywała swe agresywne, niszczące zęby. I właśnie wówczas, w połowie grudnia 1939 roku – mniejsza o okoliczności denuncjacji niemieckiego polskiego sąsiada – mojego Ojca Niemcy zabrali na stację kolejową we Włocławku, celem wywózki do obozu. Z płaczącą Mamą odprowadzaliśmy Go do stacji i widzieliśmy oraz słyszeliśmy paraliżujące widowisko: gardłowe, nienawistne wobec Polaków krzyki, poszturchiwania SA-manów, SS-manów, wehrmachtowców, żandarmów, którzy z bronią osłaniali cały obiekt; dramat ładowania naszych, wraz z Ojcem, mimo przenikliwego zimna do wagonów towarowych, zasuwanie ich drzwi po szynach...

Odjazd w nieznane był nie tylko dla naszej rodziny wstrząsem. Już wówczas zaczynało mi świtać, że to podróż nie na majówkę. Czułem nienawiść do Niemców za to, co tutaj czynili, w myślach obliczałem długość sznura, na którym bym mógł tych oprawców powiesić... Straszne, czego dzieci mogą być uczone przez wojnę.

Naszego bólu za powrotem do domu – już bez Ojca – nikt i nic nie potrafi wyrazić. Przeżywalismy pierwsze zasadnicze pęknięcie na tkance rodzinnej. Drugie – właśnie się zaczynało: jak przeżyć zimę bez żadnych zapasów gotówki, skąd brać środki na żywność, jak uniknąć łapanek ulicznych, spotkań z patrolami żandarmów, nasilających się z każdym miesiącem, jak... I tak bez końca.

Szkoły zostały przez najeźdźcę zamknięte. Wiedział, co czyni. O innych represjach – później. Mietek zaczął pracować jako pomocnik blacharza u szwagra naszej Mamy, Juliana Urbańskiego. Na inną pomoc materialną kogokolwiek liczyć nie było można. W tym klimacie nerwowych poszukiwań ratunku przez moją rodzinę – a w nich nawet próby Mateczki, moje i Jerzego imania się handlu ulicznego papierosami, bibułką do skrętów, paczkami gdańskiego tytoniu – przysły pierwsze listy od Ojca¹. Przeżył w trudzie ów trzydobowy transport do obozu w Ahrensburgu w Szlezwiku-Holsztynie. Z niego, ok. 15 września 1940 roku, został „wybrany” (w ramach naboru rzemieślników spośród uwięzionych) przez SA-mana („żółtego”) do przymusowej pracy w Bad Oldesloe, jako robotnik placowy i stolarz w firmie „Budowy Kolei, Dróg i Robót Podziemnych” E. Hillebranda: „J. SCHOER und M. BOLLOW”². Mieszkał wraz z innymi wywiezionymi Polakami we wsi (Ortsteil) Vinzier, gmina (Wohnhaft) Tralau w murowanym budynku kopalni grubego żwiru (otczaków) tej firmy, oddalonej od Bad Oldesloe drogą asfaltową około 10-11 kilometrów.

Mama zaczęła otrzymywać pocztą przesyłki pieniężne od męża w granicach 50-60 marek miesięcznie. Za mało, żeby żyć, za dużo, żeby natychmiast umrzeć z głodu. Lista naszych utrudzeń, potrzeb nie zaspokajanych, wielorakich zagrożeń ze strony okupanta aż do lata 1942 roku byłaby zbyt długa, gdyby chcieć ją choćby tylko naszkicować. Skromną miarą tych życiowych utrudzeń, chyba rodem z piekła, może być na przykład fakt, iż półtorej tony (nawet dwie) węgla kamiennego ze stacji kolejowej do mieszkania (około dwóch kilometrów w jedną stronę) nosiliśmy z Jerzym... wiaderkami, bo nie stać nas było na opłacenie wozaka.

Właśnie w lecie 1942 roku nastąpił trzeci przełom w życiu naszej rodziny: Mietek został od nas zabrany i wysłany do pracy w byłych zakładach H. Cegielskiego w Poznaniu, przekształconych przez Niemców w fabrykę amunicji. W praktyce oznaczało to, iż jest od nas zupełnie izolowany. Z kolei Mamie włocławski Arbeitsamt zapowiadał jej wysłanie na roboty do Prus. Z bratem – to wręcz cud, iż tylko na tym się skończyło. Urbańskiego Niemcy pobili i aresztowali, następnie zamknęli w więzieniu za wykonanie (na czyjś zamówienie) aparatury do destylacji alkoholu. Brat, jako pomocnik blacharza,

¹ W tym, pozał się Boże, handlu pomógł Mamie - co zdumiewające - ów sąsiad-denuncjator pożyczką 60 marek. Zapewne odczuł wyrzuty sumienia. Mój Ojciec przed wojną wyświadczał mu wiele dobrych, sąsiedzkich usług i utrzymywał z nim nawet dobre stosunki znajomości.

² Ojca „Ausweiskarte”, wystawiona przez Arbeitsamt Leslau (Włocławek) 15 grudnia 1939 roku, posiada pierwszy wpis jego pracy w piątek, 22 grudnia tegoż roku. Karta Chorych („Allg. Ortskrankenkasse”) mojego Ojca została wystawiona dn. 27 czerwca 1941 roku w Ahrensburgu. O swych przeżyciach w tym obozie opowiadał nam później ogólnie, oszczędzając szczegółów: głód, upodlenie godności ludzkiej, wyczerpujące prace fizyczne i apele, brud, dręczenie Polaków psychiczne czy pozbawianie ich wszelkiej nadziei przetrwania oraz inne formy niszczenia człowieka.

mógł także za tę pracę być represjonowany, nawet zesłany do obozu. W rzeczywistości został zesłany, tylko to się inaczej nazywało.

Zaczął się nowy etap rozpraszania naszej rodziny. W tej sytuacji Ojciec nasz zadziałał poprzez E. Hillebranda. Owemu SA-manowi zależało na dobrych fachowcach, jak i na nowych parach rąk polskich niewolników. Postarał się u swoich o wywóz naszej trójki do pracy w Bad Oldesloe. W tej swoistej ucieczce przed dalszym roz biciem naszego gniazda dn. 10 sierpnia 1942 roku (wtorek) pociągiem w głąb III Rzeszy – przez Toruń, Inowrocław, Koło, Poznań, Berlin i Hamburg (na Kilonię) – po 24. godzinach jazdy, z przesiadkami w Berlinie i Hamburgu, przybyliśmy do Bad Oldesloe.

W drodze tej, w gorące i słoneczne dni, nie obyło się i bez pewnych dla nas niespodzianek. Podczas oczekiwania na stosowny pociąg w Toruniu, gdy z bratem rozmawialiśmy swobodnie po polsku, zatrzymał się przy nas wysoki, szczupły jasny blondyn (dwudziestokilkuletni?), bodaj podporucznik – oficer SS. Dość ostro zwrócił nam uwagę, że tutaj jest Rzesza i nie wolno mówić po polsku, a za takie mówienie grozi kara. Poinformowany o naszej drodze do Berlina kazał się prowadzić do Matki. Jej kazał chłopców pilnować. Zdumiewające, ale nikogo z nas nie uderzył. Podobny zakaz mówienia po polsku usłyszeliśmy na dworcu w Hamburgu od może 45-letniego majora Wehrmachtu. Z kolei w Berlinie zaskoczyła nas inna niespodzianka: może pięćdziesięcioletni cywil – gdy usłyszał nasze polskie rozmowy o przesiadce – z własnej woli przewiózł naszą trójkę metrem na stosowną stację z pociągiem na Hamburg. Dziwiło nas to, że esesman nie bił, major tylko radził, a cywil nawet pomagał. Zdumiewało także i to, iż w pociągu nasz polski nikogo (nawet żołnierzy niemieckich) z pasażerów nie raził. Jeden z wojskowych wspominał nam nawet po polsku, że jest Ślązakiem i jedzie na urlop do domu. Jestem pewien, że ów esesman inaczej by zareagował wobec polskich dorosłych mężczyzn.

W Bad Oldesloe witał nas Ojciec na stacji kolejowej wraz z jednym z Polaków i samochodem firmy zabrał na wieś Vinzier. Radość naszych powitań – bez miary. Szczegóły z tych chwil pomijam. Znów, choć bez Mieczysława, byliśmy razem, choć w warunkach przymusowej emigracji, pod władzą Niemców i w kraju nam zupełnie nieznanym. Mimo wszystko można się było łudzić, iż zło nad naszym gniazdem rodzinnym jakby sobie... odpuściło.

Na stałe zostaliśmy zakwaterowani w rzeczonyj wiosce Vinzier, na działce kopalni kruszywa, liczącej z górą 4 ha, w murowanym, bodaj jednopiętrowym domu z czerwonej cegły, pokrytym dachówką i mającym pod spadzistym dachem zagracony strych. Był w dobrym stanie, miał podłączenie z zimną wodą i kanalizacją oraz światło elektryczne, jedną ubikację ze spłuczką na dole, w pokojach – piece kaflowe ogrzewcze. Wszystkie jego okna wychodziły na sad z warzywnikiem od strony wejścia. To prowadziło do dość rozległej kuchni z piecem na węgiel pośrodku, wspólnej dla wszystkich mieszkańców, tj. dla 6-8 Polaków, także robotników firmy Hillebranda, zajmujących prawą stronę zabudowania łącznie z górą. Nasza czwórka zajmowała lewą część (licząc od wejścia) na dole: duży pokój i mniejszy bez okna. Warunki wydawały się dość znośne.

Właściwe głębokie urobiska kruszywa położone były zaraz za domem, może około 100 metrów od niego. Drogi do nich prowadziły w dół i łączyły się z szerszą ulicą wioski. Wykopy oczywiście nie szły w kierunku domu a w dalsze ziemie parceli, na których, poza trawą i koniczyną (dla królików), warzyw czy drzew owocowych nic nie uprawiano. Wykopy od strony domu były trwale ubezpieczone palami, a ziemie całej parceli kopalnianej nie były od innych gospodarstw wiejskich odgródzone i znajdowały się jakby na wzniesieniu. Sam dom z niedużym placem, ogrodem-warzywnikiem, studnią był oddzielony od głównej ulicy Vinzier parkanem na murowanej podstawie. Do domu od strony wyrobiska przylegały zadaszenia z uporządkowanymi materiałami i narzędziami. Rzuciło się w oczy, iż Hillebrand po prostu był dobrym gospodarzem, ziemie parceli nie rozkopywane na cele wydobywcze żwiru starał się wykorzystywać pod sad-warzywnik. Transport, głównie jabłek, realizował samochodem towarowym, własnym „Mercedesem” czy inaczej – do swojej willi w Bad Oldesloe.

Z miejsca zostałem włączony do prac przy pielęgnacji drzew owocowych, ręcznego zbioru owoców, ich transportu do miasta. Nie zatrudniano mnie przy wydobywaniu żwiru. W ogrodzie wraz z innymi robotnikami trudniłem się nawożeniem, uprawą gleby, uprawami warzyw znanych mi z Polski. Pewną nowością była dla mnie uprawa bobu i karbowanej kapusty (jarmużu). Najtrudniejszymi powinnościami były dla mnie – już nie licząc dźwigania ciężkich koszy wiklinowych z owocami – przygotowywanie gleby, podlewanie roślin wodą przy pomocy konewek na dalej położonych uprawach od źródeł (studnia czy kran). Stanowczo dokuczliwe było niszczenie robaków z liści kapusty i podlewanie pomidorów roztworem wody z kałem drobiu. Przy tych ostatnich czynnościach po prostu dostawałem wymiotów.

Rzeczony prace nie były ściśle normowane czasem w każdy dzień. Wykonywałem je wraz z innymi stosownie do potrzeb. Nie otrzymywaliśmy za nie żadnego wynagrodzenia, bo stanowiły jak gdyby naszą Hillebrandowi zapłatę za korzystanie z wody, zużycie energii elektrycznej, także za zajmowanie samego mieszkania. W identycznej sytuacji byli wszyscy Polacy (bez rodzin) zamieszkujący w domu opisywanej parceli w Vinzier.

Dla mnie owe czynności związane z sadem-warzywnikiem, zbieraniem plonów – podobnie jak i zasadnicza praca w willi i w gospodarstwie właściciela w mieście – stanowiły pierwszą pracę „zarob-

kową” w moim życiu. Musiałem się do niej wdrożyć, wzmocnić fizycznie, jak też umysłowo i psychicznie. Nie było to łatwe dla chłopca, który dotąd w powyższym sensie nigdy nie pracował a teraz okoliczności wojny i przybycie do III Rzeszy, mimo małoletniości, zmusiły go do tego.

W lecie wstawałem w Vinzier z Ojcem ok. 5.30. Jedliśmy dość pospiesznie śniadanie, drugie (suche, z herbatą czy kawą zbożową, owocami, przygotowywane przez Mamę) braliśmy do toreb. Rowerem Rodzice³ – ze mną na siodełku przez co najmniej dwa miesiące, dopóki nie otrzymałem w użytkowanie roweru-damki starszej córki, właściciela – ruszali na trasę do Bad Oldesloe, po drodze mijając osadę z młynem. Gdy było pod górę, schodziłem i szedłem (czasem biegłem) przy rowerze. Jerzy otrzymał „damkę” młodszej córki dyrektora na początku lutego 1943 roku, gdy skończył 13 lat i też jeździł z nami do pracy. Trzeba było zdążyć na 7.00. W okresie jesienno-zimowym prace zaczynaliśmy od 8.00. Do sobót włącznie trwała ona do 17.00, z przerwą na obiad ok. 45 minut (od 12.00).

Dość szybko zacząłem ów obiad przywozić na rowerze Ojca – zazwyczaj z miejskiej kuchni pracowniczej, odległej od willi Hillebrandów do dwóch i pół kilometra⁴. Nie był drogi, jakieś biuro czy przedsiębiorstwo, zdaje się, dofinansowywało tę kuchnię. Czasami, głównie zimną, po „obrządku” inwentarza żywego ok. 10.00, miałem zadanie pomagać w tejże kuchni przy obieraniu ziemniaków. Treści obiadów nie były złe, zawsze dwudaniowe z herbatą (której nie brałam) lub słodkawym kompotem (brałem). Niekiedy podczas posiłków komentowaliśmy, iż utarte poglądy o tłustym, mięsistym jedzeniu Niemców najwyraźniej nie dotyczyły czasów wojny. Czasami zupy jarzynowe, buraczane lub pomidorowe były zupełnie jałowe, lepsze były kapuśniaki na kościach z ziemniakami, grochówki. W drugich daniach przewagę miały: kartofle, kasza, makarony, kapusta, brukiew, ale bywały też kawałki kielbasy końskiej, wątroby drobiowej, bywały i podroby z sosem; z do datków: marchew, fasola, bób, jarmuż, sałata, ogórki, pomidor.

Trzeba przyznać, że systematyczne, gorące obiady i w ogóle żywność naszego stołu, była o wiele lepsza niż ta we Włocławku w latach 1940-1942.

W niedziele i święta (praca trwała od 8.00 do 15.00 bez przerwy obiadowej) moje obowiązki sprowadzały się do czynności: w piwnicy willi Hillebrandów: oczyszczenie rusztu kotła ogrzewczego (na wodę) z żużla i popiołu, rozpalenie drewnem i węglem (podtrzymywanie koksem) ognia tak, aby jej mieszańcy w kranach mieli gorącą wodę i to w każdy dzień, jesienią, zimą i wczesną wiosną – także z kaloryferach. Musiałem zatroszczyć się o opał z drewna, rąbałem je zresztą siekierą na mniejszym placu gospodarczym na zapas i układałem w piętrowe pryzmy pod zadaszeniem. Jednemu z polskich robotników pomagałem ładować koks i węgiel do piwnicy. W każdy dzień: obrządek inwentarza żywego, czyli: sprzątanie, oczyszczenie, zmiana ściółki-słomy, karmienie świń, których bywało nawet 5, karmienie kur (do 40 sztuk z kogutami), gęsi (10), królików (ok. 20 sztuk). W dni niedzielno-święteczne inwentarzowi żywemu dawałem nieco wcześniej obiad, a przed 15.00 jakby na zapas – kolacje i po umyciu się w zimnej wodzie, zamknięciu bramy gospodarstwa, bez meldowania właścicielowi o wykonanych pracach, odjeżdżałem rowerem Ojca lub „swoim” do Vinzier. Szybko zorientowałem się, iż właściciel, którego zaledwie kilka razy widziałem w mundurze (oficera?) SA, po moim wyjeździe sprawdzał jakość wykonywanych przeze mnie prac. Na drugi dzień bowiem czynił uwagi, np. żeby mniej nagrzać kocioł ogrzewczy w piwnicy (o odpowiednią skalę na manometrze), że jest zadowolony, gdyż inwentarz żywy jest zadbane, a świny wszystko zjadły. Istotnie, podobno z mojej ręki (z mojego przygotowania) jadły najlepiej. Sam parzyłem ziemniaki w parniku, ale najpierw musiałem się tego nauczyć u jednego polskiego robotnika; sam je gniołem, dodawałem zasypkę z otrąb czy inną, dodawałem wysłodki z buraka cukrowego, dolewałem zawsze czystą, ciepłą wodę (w zimie nawet gorącą, bo i tak trochę ostygła). Czynił też uwagi o królikach, drobiu, z którym było najmniej kłopotu. Właściciel sam wybierał króliki, ptactwo, w tym gęsi do uboju i wykonywał go osobiście. Krew z gęsi zbierał do naczyń. Przy uboju świń nigdy nie byłem, ale wiem, iż ten proceder wykonywał sprowadzany z miasta żeźnik. Polaków, choćby częściami z tych ubojów, nigdy nie obdzielał. Komentowali, iż dlatego jest nieco otyły. Doszło do mnie poprzez Ojca, że Hillebrand był ze mnie zadowolony. Ja z niego mniej: był zawsze na dystans, bez uśmiechu, zawsze oficjalny, choć poprawny jak na swój mundur SA-mana. Dla nas wszystkich było ważne, że nie krzyczał i nie bił.

Już z powyższego wynika, że zależnie od dnia, godziny, pory roku, konkretnej potrzeby gospodarczej prowadziłem różne prace w majątku E. Hillebranda. Wymieniłem już czynności rolnika, palacza centralnego ogrzewania, robotnika placowego, hodowcy, drwala, także w Bad Oldesloe ogrod-

³ Polscy robotnicy mieli rowery firmowe, o które już musieli zadbać na własny rachunek. Były silnej konstrukcji, duńskiego wzoru: małe przednie koła duże z tyłu na dość szerokich oponach, miały wzmocnione ramy, siodełko z tyłu i na przedzie do przewożenia cięższych ładunków; dynamy łądowały prąd do reflektorów.

⁴ Raz podczas tej czynności na ulicy tegoż kurortu spotkałem polskiego żołnierza w naszym mundurze. Był sam. Szedłem przy nim i chwilę rozmawialiśmy. Najpierw z wrażenia zaniemówił. Jak się później okazało, Hillebrand nie zameldował u swoich władz ani o zatrudnieniu mojej Mamy, ani Jerzego. Z naszej trójki tylko mnie zameldował i opłacał składkę. Do dziś nie wiem, jak wysoko i na jakich zasadach zniżki.

nika, sadownika układającego jabłka w piwnicy na zimę, malarza baraków, kuriera do różnych zleceń (czyli chłopca na posyłki), pomocnika stolarza, konserwatora stalowych szyn, nawet magazyniera.

Do czynności, z którymi się zetknąłem w Vinzier, w Bad Oldesloe doszła cała nowa paleta, związana nie tylko z sadem czy warzywnikiem. Wśród nowych obowiązków – a część z nich wykonywałem razem z innymi robotnikami polskimi, później z bratem – niektóre były łatwiejsze, np. zbiór i łuszczenie kukurydzy, wydobywanie z ziemi szparagów, nawet malowanie baraków czy sprzątanie dróg i placów. Trudniejszymi czynnościami były np. uprawa ziemi, podlewanie upraw, walka ze szkodnikami, udział w zakładaniu przyzmy kompostu czy w jego rozrzucaniu pod uprawy, zbiór i transport owoców, prace palacza kotłowego w willi, oporzadek zwierząt gospodarskich (świń, królików, ptactwa, pomijając już owce) i inne. Szczególnie ciężka praca, nawet niebezpieczna, związana była z rąbaniem drewna opałowego. Najpierw trzeba było sosnowe czy świerkowe kłody pociąć na klocki. Gdy duża piła tarczowa była zajęta, musiałem je ciąć (sam lub z kimś) piłą ręczną, później rozdrabniać siekierą lub stalowymi klinami na dość drobne kawałki z jednoczesnym odkładaniem na bok części szczególnie smolnych, czyli nasyconych żywicą. Następnie, w ramach suszenia drewna, układałem pocięte kawałki na piętrowe przyzmy. Były to ciężkie prace nie tylko dla nastoletniego chłopca nie wdrożonego dotąd do takich czynności, ale i dla dorosłych. Podobnie się rzecz miała jeśli już nie z samym zrywaniem do koszyków czy wiader śliwek, gruszek, jabłek, pomidorów – to na pewno z transportowaniem ręcznym tychże zbiorów w dużych koszach wiklinowych do składów czy do piwnicy w willi.

Poza niedzielami czy świętami rzadko bywały przerwy między jednym zajęciem a drugim (chyba że na zjedzenie kanapki i wypicie jakiegoś napoju na drugie śniadanie). Niby, jak i dorośli robotnicy, nie byłem dopingowany do ciągłej pracy, przecież podczas przechodzenia – i to nawet sporych odległości – na inne stanowisko, zawsze pojawiał się przy nas właściciel, jeśli był obecny w majątku. A to oznaczało, iż trzeba nadal pracować. Od tych lat po dni dzisiejsze doskonale rozumiem trudy pracy ogrodnika, rolnika, robotnika-niewolnika. Słońce, ubytek energii ze zmęczenia, niekiedy monotonia zajęć, łaknienie czy zimą poczucie zimna – oto tylko niektóre wyczerpujące stany.

Przynajmniej jednak, iż E. Hillebrand nigdy nie uderzył żadnego robotnika, nawet na niego nie krzyczał – przynajmniej my tego nie widzieliśmy i sędzę, że on nie był do tego ani chętny, ani może nawet zdolny. Na mnie i na mojego brata także nie. Ani razu też nie widziałem, żeby nas, Polaków (dorośli nosili literę „P”) dopingowały do lepszej pracy kobiety właściciela: chyba dobra żona i córki. Te ostatnie, podczas naszego dyżuru niedzielno-świętecznego wychodziły na ganek czy trawnik przy willi i słuchały naszych polskich piosenek oraz gry na mandolinie czy bandzoli dwunastostrunowej, które nam kupił rodzic. Graliśmy ze słuchu. Te przerwy były spowodowane koniecznością odczekania na stosowne godziny karmienia zwierząt. W dni święteczne nie musieliśmy z bratem pracować w sadzie czy gdzie indziej.

Dziewczeta właściciela bardzo często wówczas, jakby w odpowiedzi na nasz śpiew i rzępolenie, śpiewały bardzo piękną piosenkę po niemiecku, pełną optymizmu, że po grudniu i trudach „nadejdzie maj, będzie słonecznie i pogodnie”. Płakałem cicho, gdy słuchałem tej ślicznej melodii nadziei. Nigdy jednak – pewnie miały zakazane przez ojca – nie podchodziły do nas, do mnie czy do Jerzego, nie rozmawiały z nami.

Jeszcze jeden przykład z tego samego zakresu. Kiedy pielilem grządki na placu przed gmachem biura – a miało to miejsce zaraz po naszym przyjeździe do III Rzeszy i rozpoczęciu przeze mnie pracy za 7 marek miesięcznie – podchodzili do mnie w moim' wieku najpierw jeden, następnie dwaj chłopcy z Hitlerjugend. Rozmawialiśmy po niemiecku o naszym przybyciu do Bad Oldesloe, o Warszawie. Oni mówili o Hamburgu i Kilonii oraz o swojej szkole. Byli zaciekawieni i grzeczni a przede wszystkim zdumieni, iż potrafię (choć z błędami) porozumieć się w ich języku. Nawet odważyli się pytać o Polskę. Zapewne i im rodzice zakazali kontaktu ze mną czy później z Jerzym, gdyż po jakimś czasie i ten zakończył się zupełnie.

Polskie piosenki wygrywaliśmy z bratem wieczorami w Vinzier na wspomnianych instrumentach, ale także i na wielobasowej harmonii-akordeonie, udostępnianej nam przez jednego Polaka. Śpiewaliśmy i graliśmy jednocześnie piosenki przedwojenne, np. „Góralu, czy ci nie żal”, „Tango Milonga”, „Umówiłem się z nią na dziewiątą”, „Już nigdy” i inne. Przecież graliśmy więcej melodii bez śpiewania, jak chociażby „Na falach Dunaju”, polki, kujawiaki i dziesiątki innych. Wówczas niemieccy mieszkańcy wioski, rolnicy z żonami i dziećmi, wychodzili przed domy i słuchali. Nawet wyrażali nam uznanie. Mój Ojciec nie mógł ukryć dumy ze śpiewających i grających synów. Opowiadał też, że ci mieszkańcy okazują w swoich reakcjach wobec Polaków znaczny postęp. Gdy bowiem rozpoczął swoją pracę u Hillebranda wraz z innymi rodakami w Vinzier, ten dom był ogrodzony a wyjazdy do pracy w Bad Oldesloe odbywały się pod niemiecką kontrolą. Ludność wsi i Tralau była uprzedzona, iż Polacy tutaj osadzeni są zbrodniarzami z Bydgoszczy⁵, nie wolno się z nimi kontaktować pod groźbą surowych kar.

⁵ Sprawa dotyczy wydarzeń w tym mieście w dniu 3 września 1939 roku. Niemcy -naziści z tak zwanej „piątej kolumny” (niby cywilnej) zorganizowali dywersję zbrojną przeciw władzy i armii polskiej. Polacy dokonali

Toteż nie nawiązywali tych kontaktów przez jakiś czas. Wkrótce przecież owo kłamstwo propagandowe nazistów musiało być przez niemieckich mieszkańców wioski (i nie tylko) milcząco odrzucone, skoro zaczęli owe kontakty nawiązywać. Odgradzeni, uwięzieni i izolowani Polacy pracowali, odpoczywali, nawet wieczorami śpiewali, nie zakłócali życia w Vinzier czy w Tralau. Musiał to być argument na rozebranie ogrodzenia, za zniesieniem nadzoru nad ich przemieszczaniem się do pracy w Bad Oldesloe, wreszcie nawet za daniem im rowerów.

Za mojego tutaj pobytu ogrodzenia już nie było. Gospodarze – bauerowie potrafili już podchodzić pod „nasz” dom i z Polakami rozmawiać. Czy byli już przekonani, że ci tutaj zgromadzeni nie mogli być zbrodniarzami? O to ich nie pytano. Mimo wszystko nie pamiętam, żeby kiedykolwiek rolnicy z Vinzier wchodzili do naszych mieszkań. Bali się nie Polaków, a swoich nazistów. Dlatego i nasi nie byli zapraszani do odwiedzin w domach bauerów. Ordnung is ordnung. Chyba w celu powstrzymania własnych chłopów z Vinzier i Tralau od kontaktów z Polakami, podczas wiosny 1943 roku esesmani zorganizowali pokazówkę swej buty, siły i pychy. Nakazali wszystkim nam z tychże miejscowości stawić się do apelu na dole wioski przed sklepem, tuż przy szosie asfaltowej. Ustawili nas w rzędzie jak do rozkazu „odlicz!”. Rzeczywiście taki padł, potem młody oficer SS przechadzał się przed frontem stojących, jak pan przed poddanymi. W rzeczy samej byliśmy przecież jego niewolnikami-podludźmi. Pozostali kompani esesowca przybyli w wojskowym samochodzie ciężarowym, rozwinęli szyk wokół nas z bronią gotową do akcji. Zdumiewające, przecież nikt z nas ani nie groził Niemcom, ani nie próbował ucieczki. Oficer pytał, a właściwie warczał o sprawy sobie znane: kto u kogo pracuje, jak długo itp. W istocie szukał pretekstu do zademonstrowania swojej władzy, aby postraszyć Polaków, może któregoś ubić? Nasi domyślali się, iż chodziło mu głównie o postraszenie niemieckich bauerów-farmerów. Kto szuka, ten znajdzie. Jeden z robotników Hillebranda, może trzydziestoparoletni Król, znany nam wszystkim osobiście, trzymał kwiatek w ręce i nie miał miny zastraszonej. Faszyście to wystarczyło, uznał, iż Król jest za swobodny, więc trzeba go nieco „doprowadzić do postaw poszanowania władzy”. Na oczach wszystkich zebranych, także Niemców – zbił Polaka do krwi szpicrutą trzymaną dotąd w ręku. Król zasłaniał tylko twarz i nic nie mówił, nawet nie jęczał. Bijącą bestię, ochryplą z wrzasku, jeszcze bardziej to rozwścieczyło. Pomagał sobie w uderzeniach kulakami, a gdy zwałił Króla na ziemię – kopniakami. Bity do końca milczał. Nikt z zebranych na postępowanie sadysty nie mógł zareagować, to oczywiste. Esesowiec najwyraźniej prowokował zebranych, aby podjęli próbę obrony ofiary. Nie podjęli, więc bicie przerwał. W potoku wyzwisk, że jesteście „polskimi świniami” i bandytami, leniwymi podludźmi – oprawca z pomocnikami wkrótce odjechał⁶.

Kto może oddać słowem uczucia żalu z powodu swej bezsilności wobec doświadczonej przez robotnika krzywdy, poniżenia jego godności ludzkiej? Już w domu „naszym”, dokąd go przyniesiono z krwawiącymi ranami, choć przytomnego – opatrywano mu rany. Obok łez były i komentarze naszych dorosłych: dobrze, że tylko na tym skończył się apel. Od klęski pod Stalingradem hitlerowcy stali się bardziej nerwowi. Później, zdawałoby się polubownie (była wówczas niedziela) podano Polakom do wiadomości śmierć gen. Władysława Sikorskiego...

W każdym razie to była lekcja przypominająca Polakom, nie tylko w tej wiosce, o kruchości naszej wątłej tutaj stabilizacji.

Niemniej, gdy mój Ojciec zginął w sierpniu tegoż roku – o czym opowiadam niżej – na Jego pogrzeb 1 września w Traventhal władze i miejscowi rolnicy zgodzili się zwolnić z pracy swych polskich robotników. Przybyli licznie z kwiatami, może 30-40 osób, na cmentarz katolicki. Zwłoki Rodzica, wówczas 39-letniego, przywiozły karawanem służby szpitala już w zamkniętej trumnie. Prawie jednocześnie przybył niemiecki ksiądz katolicki, który w obcej nam mowie odprawił stosowne egzekwie. Trumny Niemcy nie pozwolili otwierać, co ci ze szpitala zaraz na początku podali do wiadomości. Może dobrze wyszło, bo i tak nasza trójka trwała w nie dającej się wyrazić rozpacz, a stan rozpiłowanej (dosłownie) twarzy zmarłego jeszcze by ów nastrój pogorszył. Mama przez łzy dziękowała rodakom za słowa współczucia. Oczywiście nie było żadnej przemowy, prezentacji osobowości zabitego Rodzica, ani nikogo od Hillebrandów czy Niemców z Vinzier.

Przez cały czas tej smutnej ceremonii niemieckie służby (chcę wierzyć, że tylko policji miejskiej) były obecne przy ogrodzeniu cmentarza: wewnątrz i na zewnątrz. Z oddali, może nawet dyskretnie kontrolowały polskich żałobników. Dowodem na to może być choćby fakt, że kiedy my, synowie, nie

pacyfikacji tego ruchu - w samoobronie stosując prawo wojny, a więc wobec winnych ekscesów także karę śmierci. W dniach 9-10 września tego roku, gdy wojska niemieckie zajęły Bydgoszcz, w odwet hitlerowcy przeprowadzili krwawy terror przeciw Polakom, rozstrzelali 150 osób. Później przeprowadzali dalsze masakry nawet wobec ludności cywilnej miasta i okolic.

⁶ Pobity Król (imienia nie pamiętam) z licznymi ranami na twarzy, przed-ramionach, głowie, na bokach, piersiach i plecach - od uderzeń szpicruty, pięści i kopniaków oprawcy - otrzymał od Hillebranda zwolnienie z pracy na czas leczenia. Pobitym SS już się nie interesowało. Rany zagoiły się dość dobrze i Polak wkrótce wrócił do pracy. W marcu - kwietniu 1945 roku ów robotnik wracał do domu w Polsce z przejętym przez siebie od Niemców (czy aliantów) autem, ale zginął podczas bombardowań stanowisk Wehrmachtu.

możliśmy płaczącej Matki oderwać od grobu pokrytego kwiatami – choć prawie wszyscy już się rozeszli – nagle pojawiło się dwóch osobników w cywilu ze służb niemieckich. Niby grzecznie, ale stanowczo tłumaczyli Mateczce, iż czas już pojechać do domu.

Śmierć mojego Ojca

„...Trzeba unikać oglądania jej wprost, ze wszystkimi jej okolicznościami, jeśli nie chcemy dojść do przeświadczenia, że jest największym z nieszczęść...”

La Rochefoucauld, Maksymy i rozważania moralne. Przełożył Tadeusz Żeleński (Boy), Warszawa 1977, s. 104.

Piękna, słoneczna pogoda końca sierpnia 1943 roku. W górze stada ciemnych, krzykliwych kawek i innego ptactwa. Woń lata.

Siedząc pod dachem długiej szopy-stodoły, słyszę odgłos rżniętego drewna, z którego mój Ojciec przygotowuje elementy do składanych baraków-domów dla załóg robotniczych firmy E. Hillebranda „J. SCHOER und M. BOLLOW” w Bad Oldesloe. W pewnej chwili podnoszę się z siedzenia i idę w kierunku „naszego” baraku-warsztatu. Pragnąłem sprawdzić godzinę i zobaczyć, co porabia mój młodszy brat Jerzy. Południe już dawno minęło, być może już był czas rozpocząć karmienie królików i innego inwentarza.

Przechodząc koło Ojca, stojącego przy huczącej maszynie tarczowej, zatrzymuję się na chwilę i patrzę, jak odcięte dłuższy sosnowej tarcicy spadają na ziemię. Mój Rodzic jest nieco pochylony nad świszczącą w szalonym pędzie elektryczną piłą. Unosi na chwilę głowę i patrzy na mnie. Twarz jego i całe ubranie pokryte są warstwą pyłu oraz trocin z drewna. Jest najwyraźniej zmęczony i spocony.

– Wracając, podaj mi dokładną godzinę. – RzUCA znad maszyny.

– Podam. – Odpowiadam krótko przekrzykując ryk piły. – Gdzie Jerzy?

– Pomaga mi, wszedł do warsztatu. – Padła odpowiedź, po czym mój Rodzic wrócił do przerwanej czynności.

W budzie, czyli w warsztacie, odbywam z bratem krótką rozmowę. Wracając, ponownie zatrzymuję się przy Ojcu i jego pracującej maszynie. Widząc spojrzenie Taty w moim kierunku, rzucam głośno:

– Za piętnaście szesnasta!

– Możesz zacząć się szykować – zauważa Ojciec. Przytaknąłem i skierowałem się z powrotem ku szopie, aby jeszcze z kwadrans łuszczyć kukurydzę. Siadam na powrót na ławie, wsłuchując się jednocześnie w grę maszyny, oddalonej od mnie 40-50 metrów. Poprzez zgrzyt ciętych dłuższyn dochodzą mnie urywane odgłosy rozmowy Ojca z Jerzym. Czynność łuskania, później suszenia kukurydzy po odrzuceniu już ich „basiek” nie była ciekawa, można ją było przecieżyć urozmaicać śpiewaniem polskich piosenek. Gospodarz-Niemiec i jego rodzina nie zabraniali nam tego śpiewania, a nawet wielokrotnie słuchali go z dużym upodobaniem, zainteresowaniem. Jeszcze trochę pracuję w ocienionym miejscu szopy. Wypita przed chwilą z bratem chłodna kawa zbożowa najwyraźniej złagodziła uczucie duszności i żaru rozgrzanego powietrza. Wkrótce rozpoczynam czynności końcowe: porządkuję miejsce pracy, chowam i zabezpieczam kosze z kukurydzą przed ewentualnymi myszami. Za chwilę trzeba będzie znów przejść wzdłuż stodoły, mając wciąż pracującą maszynę po prawej stronie, ale samemu iść na lewo ścieżką koło ogrodu, nieco w górę na zaplecze willi i zająć się najpierw królikami... Rozmyślam także o Ojcu. Kochany człowiek, wyczuł od razu po co szedłem. Widać, zna mnie lepiej niż sądzę. Ciekawe czy i kiedy będziemy znów wszyscy razem, już z Mietkiem, w Polsce? Kiedy nastąpi powrót do Kraju?

Zadziwiająco, ale właśnie w tym momencie w otwartych drzwiach szopy staje mój brat z okrzykiem:

– Zdzicho... Zdzicho! Chodź..., chodź szybko! Tata... krew...

Widzę, że drży cały. Twarz ma bladą z oznakami najwyższego przerażenia, lęku i rozpacz. Coś dalej bełgoce bez związku, czego nie można zrozumieć, ale jeden wyraz wylapałem:

– Piła... – Brat cały się trzęsie. – Tata... leży... Piła... Pełno krwi...

W nagłym przecuciu, iż zaszło jakieś nieszczęście zaczynam również drżeć z przerażenia, ze zgrozy. Zaczyna do mnie docierać prawda. Wybiegamy obydwaj jednocześnie ku maszynie. Tutaj staję jak wryty w ziemię, bez tchu i z uczuciem, że serce mi przestało bić.

Piła tarczowa w szalonym pędzie huczy, szumi, wciąż parska pyłem jak koń śliną, jęczy jak opętana. Wokół niej unosi się jeszcze dym z ciętej tarcicy i kurzu trocin. Obok maszyny, w pobliżu dyszla i głowę w kierunku warsztatu stolarskiego, na ziemi leży mój Rodzic. Usta jego, nos, przecięty podbródek – to jedna masa krwi wciąż płynąca z rozbitej-rozpiłowanej głowy, zniekształcona, poszarpana mozaika mięsa... Czaszka chyba pęknięta, bo przy niej na ziemi białe-szare tkanki mózgu... Ojciec mój leży bez

ruchu. Ma jedną nogę podciągniętą i zgiętą w kolanie, jedna jego ręka leży na piersi... Przy głowie wciąż zwiększająca się kałuża krwi...

Potężną iskrę bólu czuję w swym sercu, w mózgu i w całym swym wątłym ciele. Drzę przerażeniem piętnastoletniego chłopca, który przecież pojął, co ten widok oznacza. Śmierć... Nagły, ochryply krzyk rozpaczyci młodszego ode mnie o dwa lat Jerzego przecina powietrze i skowyt, jakby chichot maszyny... Podła, cóż ci uczyniliśmy złego!? Widzę, jak brat chwając się na nogach, półprzytomny kłęka przy zakrwawionym Ojcu i podnosząc jedną ręką jego zmasakrowaną głowę, jęczy przeraźliwie. Ów jęk rozpaczyci zwiększa się u niego, gdy ogląda swe ręce uwalane w ojcowej krwi...

To mi przywraca na moment przytomność. Cały dygocąc jak z zimna, szybkim ruchem odciągam Jerzego od ciała Rodzica, zatrzymuję maszynę. Na krótko podnoszę głowę Taty i wpatruję się w jego zastygłą i oblaną krwią twarz z zamkniętymi oczami. Była ciepła, ale już bez życia. Natychmiast pędzę biegiem te 100 metrów do biura z powiadomieniem o wypadku. Musiałem wyglądać strasznie, gdy wpadłem jak bomba do pokoju biurowego, gdyż wszyscy urzędnicy niemieccy poderwali się na mój widok na nogi. Zdołałem w ich języku wybełkotać, że mój ojciec-stolarz leży tam zabity. Wskazywałem okno wychodzące na plac. Dopiero teraz dostrzegłem, iż na dłoniach mam ślady krwi Ojca.

Zamieszanie w biurze, bez żadnych pytań ktoś ze mną wybiegł w kierunku maszyny, inny z urzędników dzwonił prawie natychmiast po karetkę pogotowia do miejskiego szpitala. Przy maszynie Jerzy znów kłęczał przy Ojcu, przeraźliwie krzyczał i lał Rodzicowi na rozbitą głowę wodę z metalowej menażki. Wyrwam mu ją z ręki i odrzucam na stronę. Prawą ręką przykładam do koszuli leżącego, by wyczuć rytmiczne uderzenia serca. Jeszcze biło, choć ledwo słyszalnie. Zdawało mi się, że to bicie zanika. Wówczas uchem przylegam do piersi Ojca i wciąż, trzęsąc się jak osika, milczę. Niemieccy urzędnicy stali przy nas, jak skamieniały. Któryś podszedł do Jerzego, jeszcze inny do mnie, aby nas odciągnąć na stronę. Coś mówili do nas, ale widziałem tylko ich poruszające się wargi. Widziałem maszynę, słyszałem krzyk brata, odczuwałem, iż serce Rodzica przestało bić, gdy tylko wyprostował zgiętą w kolanie nogę i zdjął z siebie rękę na ziemię. Wiedziałem, że już niewiele po 16.00 leży przede mną trup, pół godziny temu jeszcze z Ojcem rozmawiałem. Niesamowite, niesamowite...

Głośny, pospieszny warkot motoru i samochód szpitalny z Bad Oldesloe przyjechał pod maszynę-zabójcę. Dwaj sanitariusze podnoszą ciało Ojca za ramiona, jeden – za nogi. To tak bardzo bliskie nam ciało jeszcze się zgięło w pasie. Przecież od wypadku nie upłynęło nawet 10 minut... Trzask drzwi karetki, przeciągły warkot motoru i samochód odjechał do miasta.

Wówczas długo płaczemy z bratem przy maszynie, przy śladach ojcowej krwi. Naszego chłopięcego bólu nikt i nic nie może uspokoić. Próbowali to uczynić: jeden z polskich robotników, ale i on płakał, urzędnicy biura, a także już przybyła żona Hillebranda, płacząca razem z nami. Jej męża nie było w gospodarstwie, a ich córki tylko mi mignęły z oddali, przy parkanie sadu u wylotu drogi wewnętrznej na cały plac gospodarczy. Ani one, ani ich matka do nas nie podchodziły. Jerzy urywanymi zdaniami mówił do mnie, iż „to” zdarzyło się, gdy z odciętymi dłuźnymi wszedł do warsztatu. Wybiegł z niego na usłyszany krzyk Ojca.

Gdzieś po godzinie zadzwoniono ze szpitala do Hillebrandów, że nasz Tato nie żyje, a naszą Mamę w Vinzier powiadomiono, iż w wypadku jest ciężko ranny i aby przybyła do Bad Oldesloe. Oczywiście któryś z Polaków za mnie dokonał obrządku inwentarza żywego w gospodarstwie. Obydwaj z bratem obmyśliśmy się, jak w każdy dzień pracy – tyle tylko, iż teraz woda była zabarwiona krwią rodzicielską. Na rowerach wyjechaliśmy na spotkanie Mateczki. To była bardzo zła jazda, Jerzy wciąż łkał, zataczał się wjeździe. Bałem się, żeby nie wpadł pod jakiś pojazd na drodze. Co chwila, zwłaszcza już za Bad Oldesloe, zsiadał z roweru i w rowach płakał. Postanowiliśmy, że od razu pełnej prawdy o śmierci Ojca Mama znać nie może.

Spotkaliśmy ją gdzieś w połowie drogi, jadła jabłka idąc pieszo, była bardzo zaniepokojona, ale zachowywała opanowanie, powstrzymując łzy.

– Nie płacz, Mamo – prosiłem. – Tata jest ranny w szpitalu i pewnie...

Musiałem przerwać, bo brat siadł w rowie, ukrywając twarz w swych małych dłoniach. Zaczął się trząść w niemym łkaniu. Mimo wszystko szczegółów wypadku nie podawaliśmy.

W szpitalu byliśmy około 19.00. Chwilę czekaliśmy na przybycie lekarza, który badał ciało Ojca. Przybył poważny, chwilę nam się przypatrywał jakby ze współczuciem. Wiedział, chociażby z Mamy litery „P”, iż jesteśmy Polakami. Milczał. Wtedy Mama chwyciła medyka za rękę i pyta przez łzy:

– Panie doktorze, czy mój mąż jest ciężko ranny?

– Tak... bardzo ciężko. – Odparł lekarz także po niemiecku, ale głosem niezdecydowanym, jakby z wahaniem. – Właśnie wracam od pani męża...

– Co mu jest, doktorze? Proszę powiedzieć całą prawdę! – Wyrzuciła z siebie Mama ze zdenerwowaniem.

– Głowa... – urywa lekarz, patrząc niespokojnie na mnie i brata. Wówczas podchodzę z drugiej strony i biorę Mamę za rękę.

– Niech pan powie – mówię spokojnie do medyka.

Ten patrzy chwilę na mnie i ponownie na Jerzego. Najwyraźniej nie wie, co powiedzieć lub jak powiedzieć. Tymczasem nasza Matka już w skrajnym stanie zdenerwowania ponownie pyta:

– Czy mój mąż śpi?

– Tak, śpi... – Lekarz znów urwał, jakby mu zaschło w gardle. Pewnie szukał łagodniejszych słów pocieszenia.

– Chcę go ujrzyć – konstatuje Mama. – Doktorze, ja go nie zbudzę.

– Nie można... Nie można tam iść. On już śpi na wieki... – Wreszcie wykrztusił z siebie ów starszy pan w białym fartuchu.

Jeszcze w tej chwili słyszę przeraźliwy krzyk mojej Matki. Straciła przytomność. Wraz z lekarzem podtrzymaliśmy ją przed upadkiem, posadziliśmy na krzesło, podawaliśmy wodę, nawet pojawiła się pielęgniarka. Jerzy wybiegł przed szpital i głośno rozpaczął. Dopiero późnym wieczorem w ten tragiczny dla rodziny czwartek dotarliśmy z powrotem do Vinzier. Tutaj – aż do pogrzebu Ojca w środę (tj. 1 września), przeżywaliśmy czarne dni rozpacz...

Powrót do rodzinnego miasta i walka o przetrwanie

„Nie tracę nadziei, dopóki oddycham (żyję)”.

Wergiliusz, Eneida

Już wspominałem, iż w chwili śmierci Ojca w dniu 26 sierpnia 1943 roku dyrektora i właściciela firmy nie było w Bad Oldesloe. Muszę przyznać, że gdy przybył do Vinzier przed południem w następny dzień (w piątek) a i dni następne także – wykazał dużo życzliwego współczucia. Pomagał w załatwianiu formalności, wszystkie przez szpital w Bad Oldesloe. Mama dostarczała przez pośrednika, jeśli się nie mylę, ubranie, koszulę i buty dla zmarłego. Ale ani Ona, ani my – synowie, nie byliśmy w szpitalu i w ogóle dopuszczeni do Jego zwłok. Czy tylko dlatego, że miał poszarpaną twarz? Z czasem rodziły się i dalsze pytania, na które przecież nie będzie odpowiedzi⁷.

Od chwili śmierci Ojca E. Hillebrand udzielił nam urlopu z pracy. Naszej Mamie przed i po pogrzebie obiecywał udzielenie pomocy, choć jej formy szczegółowo nie precyzował. Fakt, iż oferował nam pozostanie w swojej firmie i kontynuowanie w niej pracy. Był przekonany, że pozostaniemy. Przy sprzeciwie Matki zgodził się jednak na nasz powrót, na odesłanie do pracy do Włocławka (Leslau). Zapewne z funduszków firmy pokrył koszty naszych powrotnych biletów kolejowych. Czy ten gest miał stanowić „na drogę” swoisty wdowi grosz dla rodziny?

Owe akty „dobrej woli” – wszakże nie musiał ich podejmować ani też godzić się na nasz powrót do Polski – przyjmuję za fakt, iż właściciel miał jakieś poczucie winy za tę straszną śmierć mojego Ojca. I słusznie. Prawdę mówiąc, mógł w tym ludzkim odruchu iść dalej: np. nas chłopców na koszt firmy wspierać (nie utrzymywać) finansowo przez określony czas. To by Niemcom pozwoliło wyjść z całej tej sprawy z ludzką twarzą, mimo tego, że ówczesne prawo nazistowskie nie traktowało nas (i nie tylko Polaków) jako pełnoprawnych ludzi. Nie czuję się kompetentny do wypowiedzania opinii czy i kiedy można prawo obchodzić, jeśli jest zbrodnicze, czy krzywdzące wobec pokonanych.

4 września 1943 roku (w sobotę) opuściliśmy Vinzier i koleją przez Szczecin, z pominięciem Berlina, po jednodobowej podróży dotarliśmy do rodzinnego Włocławka. Mama – już wyraźnie chora na rozstrój nerwowy i wręcz bez energii do dalszego życia, ze skromną zaoszczędzoną kwotą ok. 200-250 marek, bez zawodu i szans zatrudnienia, bez mieszkania – stawiała do walki o przetrwanie rodziny.

Już później snuliśmy w naszej „trójce” refleksje, czy nie lepszym dla nas rozwiązaniem była oferta Hillebranda pozostania w naszej „trójce” refleksje, czy nie lepszym dla nas rozwiązaniem była oferta Hillebranda pozostania w Niemczech. Prawdopodobnie byśmy tam egzystowali na dotychczasowych warunkach, co najwyżej z płatną dla Mamy wyznaczoną pracą. My, chłopcy też, byśmy przynosili trochę marek. Dawało by to nam chleb na co dzień, co bardzo dużo znaczyło w naszej sytuacji. Ale awersja Mamy i nas do Niemiec, związana ze śmiercią Rodzica, była nie do przezwyciężenia. Mówiliśmy, że jeśli przyjdzie umierać, to przynajmniej w rodzinnym mieście. W Bad Oldesloe i w Vinzier bowiem w 1943 roku co najmniej od wiosny byliśmy świadkami akcji lotniczych alianatów lecących na Lubekę, Hamburg czy na Berlin. Niejednokrotnie obserwowaliśmy bitwy powietrzne angielskich lotników z niemieckimi meserszmitami. Niekiedy nocą na osiedla Tralau-Vinzier padały alianckie podłużne bomby na kształt pokolorowanych ołówków, tyle tylko, iż były grube jak szklanka do herbaty

⁷ Dotyczą np. a) Zabiegów mojej Matki w 1952 roku (w celu wystawienia „Aktu Zgonu” Ojca) o uzyskanie danych z „Akt Miasta Bad Oldesloe – Der Standesbeamte”, nr 315, C, z dn. 2 września 1943 roku; b) Moich zabiegów w sprawach pobytu w III Rzeszy poprzez Międzynarodowe Biuro Poszukiwań w Arolsen: pisma moje z lat 1989, 1990, 1992, odpowiedzi z Arolsen: cztery; c) Mojej korespondencji z Kreiskrankenhaus Stormam (1989.03.01). W aktach są adnotacje o moim Ojcu (daty: przybycia do Bad Oldesloe, śmierci, pogrzebu, wymeldowania). Podano powód śmierci: upadek na „Kreissage”. Po 30-stu latach szpital pozbył się kart leczniczych pacjentów.

i długie 70-80 centymetrów. Nie mierzyłem tych niewypałów, ale widziałem. Polacy rankiem musieli je zbierać, tak jak i odcinki alianckiej folii przeciwpościskowej. Te nocne loty – niezależnie od tego czy były z bombami, czy bez nich – także i nas napawały lękiem, nie tylko Niemców.

Zapewne pod wpływem pism Hillebranda niemiecki urząd kwaterunkowy we Włocławku chciał nam oddać poprzednie mieszkanie na trzecim piętrze (na strychu) przy ul. Królewieckiej (Hindenburgstr.) nr 27. Bogu dzięki Mamie starczyło energii, żeby tę ofertę odrzucić. Oznaczała bowiem uprzednie wyrzucenie z tego poddasza – z oknem w dachu podnoszonym kijem do góry – polskiej rodziny tam zamieszkującej. Innego mieszkania dla nas „od ręki” oczywiście nie było. Stąd najpierw przejściowo, „kątem” zamieszkaliśmy u znajomej Mamy, pani Marii Koneckiej przy tej samej ulicy lecz pod numerem 25 (na dole po lewej stronie od wejścia). To ona zresztą z córkami powitała nas na stacji kolejowej po powrocie z Bad Oldesloe.

Szybko jednak trzeba nam było znaleźć inne mieszkanie. Znaleźliśmy gościnę na następny miesiąc, tj. do końca października 1943 roku, u szwagra i młodszej siostry Mamy, Juliana oraz Heleny Urbańskich, przy ul. Stodolnej, niedaleko bocznicy kolejowej włocławskiej „Celulozy”. Warunki mieszkaniowe były tutaj więcej niż trudne, stąd z zadowoleniem na początku listopada przyjęliśmy mieszkanie z przydziału przy ul. Polnej (Schlageterstr.) nr 67 na pierwszym piętrze starego, wymagającego remontu murowanego domu. Posiadał światło, zimną wodę w kranie i ubikację ze spluczką, z mankamentów zaś najdokuczliwsze były: karaluchy, słabo grzejący piec kaflowy, zimne ściany, koza z rurami, trzeszczące drewniane schody i podłogi, jedna tylko ogromna izba służąca za wszystko: kuchnię, sypialnię, pokój stołowy. Ponadto brakiem dokuczliwym tego lokum była jego odległość od centrum miasta: prawie 5 kilometrów, brak sklepów w okolicy czy jakiegos targowiska. W takiej samotni, wręcz na peryferiach Włocławka – nie dość, że z głodowymi przecież racjami na kartki żywnościowe, to jeszcze bez możliwości ratowania się kartoflami, brukwią, marchwią czy kapustą, nawet przy chudej kaszance – słabły nasze nadzieje na przetrwanie.

Nie dziw, że już wkrótce z powodu niedożywiania – a później i zbyt ciężkiej dla małego pracu w „WISLE” na własne i rodziny utrzymanie – chorowałem, nabawiłem się zwapnień na skutek nie wyleczonej grypy, szkorbutu-gnilca dziąseł z awitaminozy, byłem skłonny do przeziębień. Dolegliwości te nie omijały brata i Mamy. Wówczas to Mama pisała listy do E. Hillebranda o zapomogę. Otrzymała na nie dwie odpowiedzi na firmowym papierze „J. SCHOER und BOLLOW” z Bad Oldesloe: 8 listopada 1943 roku (dwa miesiące od opuszczenia przez nas Vinzier) i 21 marca 1944 roku. Obydwa, oczywiście, po niemiecku. Warunkiem otrzymania jakiegokolwiek zapomogi było komisyjne zaświadczenie o niezdolności do pracy naszej Rodzicielki.

Rzecz w tym, iż Mama, nie przygotowana do życia bez męża, bała się owej komisji lekarskiej. Jej choroba była stwierdzona przez niemieckich miejscowych lekarzy ponad wszelką wątpliwość. Po cóż więc wzywano ją do stawania przed komisją... niemiecką? Chyba słusznie powzięła podejrzenie, iż w całej tej sprawie o zapomogę okupantowi nie chodziło o jej chorobę, bo ta została już potwierdzona. Matka, po tym co ją spotkało, nawet słyszeć nie chciała o powrocie w głąb Rzeszy i zdecydowanie odmówiła pisania w tej sprawie pisma. Lękała się też, że Niemcy znów będą na nią wywierać naciski, aby podpisała listę narodowości niemieckiej (Volksdeutscha). Już wcześniej wracała z takich „rozmów” zapłakana, wystraszona i psychicznie jeszcze bardziej rozbita. W tych sprawach mówiono do niej (np. „...Niech Pani ratuje chłopców...”) dość ostrym tonem, ale nigdy jej przy odmowie nie pobito. Nigdy też takiej listy nie podpisała i uznaliśmy, iż inaczej postąpić nie mogła, nawet gdyby przyszło nam umrzeć z głodu.

W czerwcu 1944 roku niemiecki urząd kwaterunkowy przydzielił nam jednoizbowe mieszkanie-pólsuterinę. Zaduch i wilgoć, półcień a raczej zupełny brak słońca – stale tu panujące – narażały nas na choroby.

Dnia 13 czerwca 1944 roku rozpocząłem pracę we włocławskiej Fabryce Maszyn Rolniczych i Odlewni Żelaza – „WISŁA” (WEICHSEL – Mashinenfabrik und Eisengisserei. Daniel W. Spitzbarth, Leslau) jako pomocnik stolarza (Hilsarbeiter in der Tischlerei). Jest znamienne, że młodzieży polskiej nie przyjmowano w fabryce (i to nie tylko w tej „mojej” przy ul. Toruńskiej – Thornerstr. nr 28) jako uczniów danego zawodu. W praktyce taki „pomocnik” gdzieś po sześciu tygodniach wykonywał prace dorosłego robotnika, tyle że zawsze z mniejszym wynagrodzeniem. Wyzysk młodocianych przez przedsiębiorcę był oczywisty. Sama praca w fabryce trwała od 7.00 do 16.00, z krótką przerwą obiadową o 12.00, w soboty – bez przerwy i kończyła się o 14.00. Niedziele i święta były wolne od pracy (i od wynagrodzenia). Wkrótce po mnie w odlewni „Wisły”, jako pomocnik gisera (!) zaczął pracować także mój brat Jerzy. Oczywiście obydwaj traktowaliśmy tę pracę jako ciąg dalszy naszej walki o przetrwanie. W naszej świadomości była ona zawsze prostym następstwem tragicznego wypadku Ojca⁸.

⁸ Podobnie traktowaliśmy i wszystkie następne niedogodności tej „drogi przez mękę”, utrudnienia czy dolegliwości w naszym biednym przecież życiu, jak: zamieszkanie w pólsuterenie, dalsza praca w „Wisłę” i po

To była bardzo ciężka praca nie tylko dla niedożywionych młodocianych organizmów. Jednakże dostarczała rodzinie minimalnych środków finansowych na utrzymanie, także wióry i ścinki drewna na opał. Przynajmniej odtąd wszyscy mogliśmy zjeść regularnie. Najprawdopodobniej ten etap walki o nasze przetrwanie zdecydował o tym, że nikt z nas nie zachorował na gruźlicę. A może wciąż czuwały nad nami duchy opiekuńcze?

Radować się przecież nie było z czego. Do wspomnianej pół-sutereny (ok. 20 metrów kwadratowych) otrzymaliśmy przydział wraz z rozpoczęciem przeze mnie pracy w fabryce. Lokum, bo trudno to było nazwać mieszkaniem, mieściło się przy ul. Królewieckiej (Hindenburgst.) nr 27, pierwsza klatka wysokiej z czerwonej cegły kamienicy na lewo od bramy z furtką, naprzeciwko studni-pompy. Wchodziło się do niej przez piwnicę, na lewo. W tym, pozał się Boże, mieszkaniu mieliśmy kran z zimną wodą ze zlewozmywakiem (metalowym), światło, piec na węgiel z fajerkami, nieustanną ciemność z powodu pół okna wystającego tylko nad ziemię, ciągle poczucie stęchlizny i wilgoci w powietrzu i na ścianach oraz... karaluchy, z którymi trzeba było prowadzić nieustanną wojnę. Ubikacja, zawsze z mnóstwem szczurów, była zbiorowa na podwórku. Te ostatnie były bardzo często zabijane z broni myśliwskiej (na śrut) oraz przy pomocy psów przez Niemców (SA-owców i cywilów), mieszkających na dole. W tej mordędze, z powyższymi „atrakcjami polowań”, mieszkaliśmy do lutego 1945 roku, czyli już do ucieczki okupantów.

Tracimy siły (fragmenty pamiętnika)

„Nadzieja, mimo iż zwodnicza, pomaga nam przynajmniej dojść do końca życia przyjemną drogą”.

La Rochefoucauld: Maksymy..., s. 54

Włocławek, 16 lipca 1944 roku (niedziela)

Już cztery lata minęły od chwili upadku Rzeczypospolitej Polskiej, kiedy ta krwią brocząc – runęła. Cztery lata nocy okupacyjnej teutońskich zwycięzców na naszych ziemiach Piastów i Jagiellonów, nocy znaczonej masowymi morderstwami dokonywanymi przez Niemców na Żydach i Polakach. Wśród naszych znajomych słuchających tajnie rozgłośni radiowych z Zachodu czy czytających podziemną bibułę, między innymi i wśród robotników „mojej” Fabryki Maszyn Rolniczych i Odlewni Żelaza „WISŁA”, powiadają, że takich gett żydowskich, jak włocławskie jest na ziemiach polskich wiele. Niektóre z nich, jak warszawskie rok temu, zostały już bestialsko spalone⁹.

Prawie w każdym większym mieście okupanci wydzielili najbardziej gospodarczo zaniedbaną część dzielnicy, ogrodzili ją jak we Włocławku, zapędzili do niej miejscową ludność żydowską, systematycznie ją niszcząc przy pomocy głodu, ciężkiej pracy fizycznej, pozbawieniem tych nieszczęśników opieki lekarskiej, wystarczającej ilości wody pitnej, urządzeń sanitarnych, czy wreszcie poprzez stosowanie nieustannych represji fizycznych, psychicznych i innych, nawet bez oszczędzania uwięzionych dzieci. Starsi robotnicy powiadają także, iż w takich gettach – jeśli nawet ci ludzie wytrzymują to piekło jawnej zagłady i w tej potwornej gehennie nie podejmują kroków samobójczych – okupant przy lada okazji lub zgoła bez żadnych widocznych przyczyn po prostu tych ludzi zabija, nie oszczędzając chorych, dzieci czy kobiet ciężarnych.

Jeszcze przed naszym wyjazdem do Bad Oldesloe w Szlezwiku-Holsztynie (koniec sierpnia 1942 roku) byliśmy z bratem Jerzym i Matką Władysławą we włocławskim getcie kilka razy, formalnie u krawca czy u szewca. Okupanci zaraz po założeniu getta zezwalali na ograniczone w czasie i pod ścisłą kontrolą wachmana przy bramie kontakty usługowe z Żydami. Po jakimś czasie te kontakty ograniczano i zlikwidowano. Dodam, o czym rozmawialiśmy z bratem, iż wobec nas, chłopców, te kontrole

ucieczce Niemców z Włocławka konieczność uzupełniania szkoły powszechnej w 1945 roku w trybie przyspieszonym, później walkę o wykształcenie średnie w gimnazjum i liceum w celu Uzyskania świadectw dojrzałości. Ale to już jest inny temat, wybiegający poza wspomnienia z dzieciństwa czasów ostatniej wojny.

⁹ Wiedziałem, że nazwisk takich osób-informatorów nigdzie nie wolno zapisywać. Przy ich identyfikacji ludziom tym groziła śmierć w kazamatach gestapo. Podobny przypadek z odkryciem przez Niemców w styczniu 1941 roku siatki spiskowej włocławskiej młodzieży harcerskiej (Kujawskiego Związku Polityczno-Literackiego) - już miał miejsce. Hitlerowcy aresztowali wówczas 181 osób z Włocławka i okolic: z Brześcia Kujawskiego, Lubrańca, Lubienia, Smiłowic i innych. W tym 37 osób (przeważnie 19-20-letnich) uznali za kierowników tejże organizacji utworzonej rok wcześniej. Po przejściowych obozach sądzono ich w Dreźnie i Zwickau i skazano w 1942 roku na śmierć: Eugeniusza Kłosowskiego, Władysława Magielskiego, Janinę Lech, Wandę Daczkowską, Danutę Turczynowicz, Stanisława Mazurka, Józefa Bieńkowskiego i Henryka Wojdyło. Dwaj pierwsi zmarli w torturach przed wykonaniem wyroku, pozostali z tej grupy kierownictwa zostali ścięci w Dreźnie i Poznaniu. Zob. Jaszewski Tadeusz, Kujawski Związek Polityczno-Literacki we Włocławku, w: Materiały Historyczne z sesji popularno-naukowej, pt. Udział młodzieży polskiej w II wojnie światowej. Materiały do druku przygotowali: Jacek E. Wilczur, Zdzisław Taźbierski, Tadeusz Kochanowski, Olsztyn 1980 (druk: 1986), s. 206-211.

nie były zbyt dokładne, stąd Mamie udawało się – w ramach zapłaty za usługi poza pieniędzmi – przynieść uwięzionym żywność w małych ilościach.

Nie widzieliśmy tam wówczas samego aktu mordowania tych umęczonych ludzi, ale bicie ich w steku wyzwick przez nadzorców – tak. Przecież to, co dostrzegaliśmy (i wyczuwaliśmy) ponadto, było wręcz niesamowite: brud, wszy, smród nie odprowadzanych wydzielin, robactwo nie sprzątanym wysypisk śmieci, brak wody (zupełnie bez ciepłej), silny niedobór żywności, brak lekarstw, wałęsające się w rynsztokach dzieci, niesamowity jazgot na ulicach, a nade wszystko nadmierny ścisk ludzi w każdej izbie. Wychodziliśmy z tego miejsca wegetacji i powolnego umierania jak najszybciej. Policjanci (z kogutami na czapkach), podobnie jak i przy wejściu na teren getta od ul. Starodębskiej, ogrodzony murem może na 3 metry wysokości, wypuszczali nas również za okazaniem odpowiedniej przepustki. Kontrolowano zwłaszcza, czy nie przynosimy Żydom leków, żywności, czegokolwiek.

Masowe mordowanie tych biedaków Niemcy nasilili w roku ubiegłym. Czy jednak – jak opowiadali w ostatnich dniach starsi – jest to tylko odwet okupanta za owo kwietniowe ubiegłoroczne powstanie Żydów w Warszawie?¹⁰ A z jakich przyczyn oprawcy niemieccy prowadzą obozy pracy (przez naszych informatorów nazywane koncentracyjnymi lub obozami śmierci) nie tylko dla Polaków, ale i innych nacji z Europy? To od pracowników fabrycznych po raz pierwszy słyszę, że w tych miejscach ludobójstwa najpierw się więźniów wyciąga z wagonów bydlęcych, następnie segreguje, obrabowuje z bagaży, następnie pod pretekstem kąpieli – dusi się ich gazem w specjalnych komorach (krematoriach). Padają nazwy nie znanych mi jeszcze miejscowości: Majdanek, Oświęcim, Bełżec, Dachau (w Niemczech) i innych. Jestem pewien, iż właściwymi powodami tych zbrodni Niemców jest ich skrajny nacjonalizm-nazizm, uludy o tym, że stanowią „rasę panów” – Nordyków, ponoć wyższą od Żydów, Słowian, Azjatów, Cyganów, Afrykanów... Jak ich za takie czyny i poglądy krwawo wprowadzane w życie nie nienawidzić?

Z ustnych relacji osób starszych wiem, że tę moralność nazizmu-rasizmu Adolf Hitler wyłożył w „Mein Kampf” (Moja walka, droga). Zaleca w imię Tysiącletniej Rzeszy niszczenie wszystkich przeciwników z zastosowaniem każdej metody, kultywuje siłę ponad prawem w realizacji podboju nie tylko Europy. Uzasadnieniem tych zbrodni ma być walka o „Lebensraum”, czyli o przestrzeń życiową dla „rasy panów”. Chyba po wojnie – a wierzymy, iż będzie ona mimo wszystko zwycięska dla sił koalicji antyfaszystowskiej – pojawią się na ów temat szerokie prace.

To w imię tych planów naziści na co dzień, jeśli nawet nie do wszystkich Polaków od razu strzelają – gdyż nie tylko w Generalnej Guberni są im jeszcze do pracy potrzebni – stosują widoczne gołym okiem swe zamysły tworzenia „Tysiącletniej Rzeszy”. Dufni w racje nazizmu wyodrębnili się od nas... znaczkami ze swastyką, noszonymi w klapach marynarek, surdutów, na swetrach, sukienkach. W nienawiści wobec wyznawców Mojżesza zepchnęli ich do gett na zatracenie, do komór gazowych na spalenie. Jeśli tu i ówdzie na ulicy Włocławka pokażą się w kolumnach roboczych pod nadzorem wachmanów (ale i nastoletnich chłopców z Hitlerjugend...) – są oznakowani na plecach czy rękawach sześcioramienną żółtą gwiazdą Dawida i muszą chodzić... jezdniami. Swoisty styl upodlenia godności ludzkiej. Takie obrazki widziałem już wcześniej w okupowanej Warszawie. Nie mogę zapomnieć łez ciężarnej, młodej i pięknej Żydówki, wręcz artystki haftu, gdy niekiedy przez jakiś czas (do połowy 1942 roku?) była u nas na krótko w sprawach krawieckich u Mamy. Ufała nam, trwała w przekonaniu, że wszyscy oni w getcie zginą. Straszne były jej opowieści o zabijaniu tutaj jej współbraci. Płakałem z rodziną, gdyż nie mogliśmy temu zapobiec. Obecnie już nie ma przepustki do „strony aryjskiej” w różnych usługach, także w domach niemieckich. Zapewne już nie żyje.

Co do Polaków: dostrzegam na co dzień i często o tym rozmawiamy we własnym środowisku – metody okupanta stosowane w celu naszego zniszczenia. Z tych wyczuwa się przede wszystkim jego koncepcję wytracenia nas... głodem. Czy trzeba mówić o jego skutkach? Temu celowi służą: przede wszystkim głodowe racje żywności w systemie kartek miesięcznych (z podziałem na tygodnie), nawet na margarynę i marmoladę. Pomijam szczegóły ilościowe tych przydziałów. Ktoś kiedyś napisze o nich wyczerpująco.

W celu obrony przed chorobami z niedożywienia Mama – a tak czynią wszyscy polscy biedacy – gotuje czy smaży co się da: na okrągło kapustę na kościach, brukiew, cebulę, buraki czerwone, marchew, ziemniaki, placki z mąki, kaszę, szczaw; rzadkim rarytasem są kaszanka, kości wieprzowe, jajka i chyba raz w miesiącu mielone. Masła, tłuszczu, śmietany, prawdziwego mięsa, pełnego mleka czy sera – właściwie nie widzimy. Mógłbym na ten temat powiedzieć więcej szczegółów, także i o śladowych przydziałach mąki, lichego oleju, cukru, chleba. Dodam tylko, iż czasami Mateczce przy naszej pomocy uda się poprawić nasz stół o kawałek słoniny, o chleb wiejski, mąkę, nawet o drób, kaszę – jeśli za te artykuły na wsi wręczy się odzież, buty, sprzęt gospodarstwa domowego. Już od dawna nie mamy niczego do takiej zamiany. Co więcej, tego rodzaju nasze wyprawy przez Wisłę (po lodzie lub

¹⁰ Mówili, że naziści realizują szeroki plan fizycznej zagłady najpierw Żydów, potem Polaków. Bez podawania konkretów.

mostem) do Górnego lub Dolnego Szpetala czy do wsi położonych nawet do dziesięciu kilometrów od rzeki – stały się bardzo ryzykowne. Niemieccy żandarmi pilnują, aby ów „ruch wymiany” przerwać. Bywało jeszcze w ubiegłym roku, że gdy wieczorami wracaliśmy do domu z takich wypadów, wachmani organizowali łapanki, nawet do naszych strzelali a wobec rolników stosowali różne, także pozafinansowe sankcje. Oczywiście karty żywnościowe Niemców (białe czy z białym pasem) są wielokrotnie od polskich bogatsze w asortyment i ilość artykułów żywnościowych.

Zakazany jest także handel uliczny, obnośny, który by nas mógł podreperować w pieniądze. Za nie na „czarnym rynku” (choć też był i jest zabroniony) można było coś dokupić. Jeszcze w grudniu 1939 roku, gdy nam okupant wywiózł Ojca, Stefana, Mama z nami próbowała sprzedawać papierosy, tytoń w paczkach, bibułkę do skrętów. My chłopcy czyniliśmy to na ulicy zwracając się do osób bez znaczków ze swastyką. Bez liczącego się powodzenia, co mówiłem wyżej.

Także dla fizycznego nękania polskich dzieci wróg, poprzez urzędy pracy (Arbeitsamt), wprząął do szeregów swoich robotników dzieci od 14. roku życia, chociaż Jerzy młodszy ode mnie prawie dwa lata też musiał pracować. Po powrocie z Bad Oldesloe był przez jakiś czas we Włocławku gazeciarem roznoszącym szmatławca: „Ostdeutsche Beobachter”. Jego skromne honorarium wspierało nasz budżet rodzinny, co nie było bez znaczenia w walce z głodem. Na wsparcie finansowe starszego mojego brata, Mieczysława, nie możemy liczyć. Pracuje w fabryce w Poznaniu (dawniej H. Cegielskiego) i jest od rodziny w ogóle izolowany.

Całą trójką żyjemy półgłodni, praktycznie tylko na jednym pełnym posiłku w południe, a i to niezbyt wartościowym w kalorie. Nawet na moment nie myśleliśmy o kradzieży, jako metodzie zaradczej. Wegetujemy więc miotani obawami, iż grożą nam: odwitaminizowanie, anemia, szkorbut-gnilec mięs, próchnica zębów, niedomagania żołądka, ogólne osłabienie i stąd skłonność do przeziębień. Bóg wie, jakie jeszcze padalce. Nawet niektóre z tych dolegliwości już odczuwamy, choć gruźlica jeszcze nas nie dopadła.

Trzykrotnie jako chłopiec byłem w kotle włocławskiej łapanki ulicznej. Najpierw w lecie 1941 roku, gdy dwa motocykle z żołnierzami zamknęły ul. Rolniczą od ulic: Starodębskiej i Kaliskiej. Niemcy usiłowali schwytać polskie dzieci kontaktujące się przez sztachety rampy kolejowej z oddziałami węgierskimi, udającymi się w sojuszu z III Rzeszą na front... Otrzymywaliśmy od Węgrów chleb, słodycze, suchary, nawet tabakę i papierosy. Wiedzieli, że to dzieci polskie. Uciekłem, ale Niemcy dopadli nas na podwórkach, bili, grozili zastrzeżeniem, krzyczeli także na rodziców. Oczywiście podarunków węgierskich już nie zdołał nam okupant odebrać. Nieco później zostałem na ulicy przed południem zatrzymany przez wachmana, gdy wracałem z kartkową porcją mielonego mięsa z ul. Chmielnej (sklep na rogu), przed budynkiem żandarmów w drodze na Zielony Rynek. Prawie trzy godziny musiałem mu czyścić zabłocony rower. Trzecia łapanka – gdy wychodziłem wraz z innymi z kościoła św. Jana nad Wisłą po mszy. Funkcjonariusze SS, SA, policji otoczyli świątynię i nabrali do samochodów ciężarowych dorosłych Polaków obojga płci w atmosferze krzyków, bicia kolbami, popychanek czy wyzwick. Dzieci tylko odpychali kolbami, odtrącali, gdy z krzykiem trzymały się starszych siłą zabieranych do pojazdów okrytych plandekami. Starsze dzieci, jak ja – trzynastolatek, potraktowano ostrzej, ale do samochodów nie zostały zabrane.

Jeszcze na ul. Rolniczej drżałem z najbliższymi (w 1940 i na początku 1941 roku) przed groźbą wysiedlenia do Prus, jak mówiono. Żandarmi z cywilnymi funkcjonariuszami gestapo przeprowadzali tę akcję, ale naszą rodzinę ominęli. Może dlatego, iż już w połowie grudnia 1939 roku wywieźli Niemcy mego Ojca Stefana do obozu w Holsztynie. Jednak widzieliśmy i słyszeliśmy owe brutalne, nocne akcje wysiedleńcze obok nas. Zaczynali je łomotaniem kolbami karabinów w drzwi, okna z wściekłymi krzykami „Raus! Raus! Schnell, Schnell!!” (Wychodź! Szybko!). Oprawcy dawali wysiedlanym 10-15 minut na spakowanie podręcznego bagażu. Pozostawiane mieszkanie z dobytkiem zamykali, pieczętowali lub pozostawiali pod opieką sąsiadów. W oczekiwaniu tego nieszczęścia kładliśmy się do łóżek w ubraniach, nawet mieliśmy przygotowany bagaż na tułaczkę.

Przy pracy w okopach Modzerowa

„Arbeit macht Frei”

– Napis na bramie obozu koncentracyjnego w Oświęcimiu

Włocławek, 20 lipca 1944 roku (czwartek)

Jest piękny, gorący dzień letni. Z przestrzeni – jakby dla wzmocnienia ludzi słabych duchem i zrezygnowanych – świecą żywe promienie Słońca.

W ostatnich dniach panuje w mieście wyraźne zamieszanie. Po dotkliwych klęskach na wschodnim froncie (Moskwa, Leningrad, Stalingrad, Kursk...) siły hitlerowskie cofają się pod ciosami Armii Czerwonej. To zapewne z tych przyczyn władze okupacyjne zarządziły u nas (czy także na terenie całej

Polski, z Generalną Gubernią włącznie?) ogólny pobór polskich mężczyzn od 16 roku życia oraz kobiet do kopania okopów – rowów obronnych. Przy pomocy „polskich sił roboczych” – gdy własnych, widać, nie staje – Wielka Rzesza ryje w wyznaczonych przez wojsko miejscach ciąg ochronnych, zaporowych, stosownie maskowanych rowów, które mają powstrzymać „czerwonych diabłów z Azji”, jak piszą w szmatławcu „Ostdeutsche Beobachter”.

Fabryki, warsztaty większe i mniejsze, biura i inne przedsiębiorstwa czy zakłady pracy rozmaitych rodzajów produkcji, operacji biurowych – przynaglone odpowiednimi zaleceniami władz niemieckich – biorą udział w kopaniu okopów. Stąd ograniczają czy nawet zawieszają zakres owych produkcji, a polskich pracowników pod przymusem kierują do tego rycia dołów. Nie będę się zajmował szczegółami tych zarządzeń. Od strony nakazu i przewidywanych kar za ich łamanie – wyglądają naprawdę groźnie, jak to ostrzega nas dysponent „Wisły”, Daniel W. Spitzbarth i jego mocodawcy. Nawet nasze kobiety od małych dzieci hitlerowcy biorą do tego „najwyższego przedsięwzięcia” III Rzeszy.

Wspominam o tym z dwóch przyczyn. Pierwsza: nadzór niemiecki fabryki „Wisły” zapowiada, że od nas też ludzie pójdą na szacunę. Druga przyczyna jest szersza: czy to z powodu zachwiania wiary u organizatorów niemieckich w obronę Rzeszy, czy ze świadomej opieszałości „polskiej siły roboczej” – przynajmniej w Leslau – Niemcy tej akcji nie prowadzą sprawnie. Można zauważyć „gołym okiem” (np. na Rynku Zielonym), iż pogubili się: kto, dokąd, kiedy ma iść do tejże pracy. Widać to też w bieganinie, ostrej wymianie słów między funkcjonariuszami SS, SA, oficerami Wehrmachtu. Polacy, co by nie mówić specjaliści w bałaganie, skutecznie pomagają okupantowi w utrzymywaniu oraz w zwiększaniu dezorganizacji i całego zamętu. Czy wersje o niemieckich talentach organizacyjnych sprawdzają się w każdych okolicznościach?

Modzerowo, 7 sierpnia 1944 roku (poniedziałek)

Już na początku bieżącego miesiąca uzyskałem odpowiedź na postawione przed dniami pytanie. Niemcy potrafią, jak i Polacy, gubić się organizacyjnie w trudnych czy napiętych warunkach. Mówię tak choćby na podstawie samego organizowania „mojego” marszu okopowników z centrum Włocławka do Modzerowa (może w sumie z ulicami w mieście oraz drogami okolic wioski 18-20 kilometrów). Sprawdzanie bez końca nie zgadzających się list uczestników tej „zsyłki”, podział na mniejsze grupy marszowe, określenie samego kierunku – a wszystko w krzyku i kłótniach między samymi funkcjonariuszami – zmarudziło im czas od 15.00 do wymarszu o 18.00. Niczego nie mieli dopracowanego, improwizowali, działali nerwowo i w pośpiechu, stąd nie bardzo im ta organizacja wychodziła. Sam przemarsz z kolei zajął im dalsze cztery godziny. Kpiny. Ale wracam do spraw po kolei.

Pod nakazem (wojskowej komendantury miasta?) także „moja” Fabryka Maszyn Rolniczych i Odlewni Żelaza „WISŁA” wysyła w różnych terminach kilkunastu polskich pracowników do kopania umocnień ziemnych, nie przerywając produkcji maszyn. Los zrzucił, że i ja się wśród nich znalazłem. Tydzień temu, tj. 31 lipca, razem z innymi zostałem ok. godz. 12.30 zwolniony z pracy i na 15.00 zgłosiłem się z powrotem już z niezbędnym bagażem do drogi. Smutne było pożegnanie z Mamą i młodszym bratem. O nich też wciąż jestem niespokojny, gdyż hitlerowcy mogą ich w każdej chwili posłać do kopania tych rowów. Rodzicielka musiała pójść zarejestrować się do tychże prac w dniu mojego wymarszu i było nawet możliwe, iż będzie kroczyć w którejś z grup razem z mną lub w innym kierunku. A jeśli też maszeruje, chora i nie nawykła do tak ciężkich prac fizycznych? Co wówczas z Jerzym? Czy go krewni przygarną do siebie? To były smutne refleksje i obawy w moim sercu w ten oraz w następne dni. Zwłaszcza, że wciąż jesteśmy pod wrażeniem śmierci Ojca, Stefana, w Bad Oldesloe rok temu. Dlatego nasze pożegnanie było w smutku, we łzach, w nastroju, iż może widzimy się po raz ostatni w życiu.

Z fabryki skierowano naszą grupę na Plac Dąbrowskiego do punktu zbornego. Stąd z kolei, po niemrawym uzupełnieniu ewidencji wiedzionych do pracy, włączono ją do zbiorczej kolumny liczącej ok. 350-400 osób, jako że na trasie marszu jedne podgrupy odchodziły, inne dochodziły. Ta „moja” grupa szła przez ul. Żabią, Zielony Rynek i Płocką wręcz w żółwym tempie, co mi pozwalało stwierdzić z uciechą, iż Matki tutaj nie ma.

A pochód okopowników posuwał się marudnie w swoistym nieładzie, choć w zwartej grupie – przystawał co chwila na polecenie prowadzących go wachmanów-policjantów uzbrojonych w karabiny oraz funkcjonariuszy SA („żółtków”) zbrojnych w broń krótką. Wciąż kogoś tam dołączali do naszej gromady lub oddzielali. Przez dłuższy czas kłócili się między sobą o kierunki marszu i o rodzaj planowanych wykopów. Ponadto tempo marszu jeszcze spadało przy przerwach na uzupełnianie ewidencji. Można było wówczas odnieść wrażenie, że te spowolnienia tempa były ze strony Niemców świadomym zamysłem, aby uczestników-robotników bardziej utrudzić, zmęczyć.

Przykładów pobicia kogoś z polskich nieszczęśników przez hitlerowski nadzór nie zauważyłem. Dochodziły tylko gwałtowne ponaglania: „Schnell! Schnell! (Szybko, Szybko!), co przy marudzeniu organizatorów zakrawało wręcz na kpiny a tempo marszu i tak nie wzrastało. Nie tylko ja zorientowałem się, iż owe pohukiwania na Polaków czy nawet poszturchiwania przez wachmanów były z ich strony bardziej pokazem dla własnych zwierzchników niż wolą przyspieszenia tempa marszu. Naszą

grupę otwierało i zamykało w sumie kilka platform polskich wozaków. Szkapiny też się nie spieszyły. Na wozach siedzieli dozorujący Niemcy, były też na nich składowane cięższe narzędzia do prac ziemnych i – ku memu zaskoczeniu – większe walizy-bagaże (Niemców?) oraz siedziały kobiety polskie mające rozmaite kłopoty z nogami. Nastroje wśród okopowników były zróżnicowane: płacz mieszał się z okrzykami i rozmowami, młodzi silili się nawet na jakieś skoczne melodie... Zapewne w celu podniesienia na duchu tych smutnych, jak ja – pomyślałem. Przewaga liczebna mężczyzn nad kobietami była zdecydowana, znaczny odsetek stanowiły osoby 40- 50-letnie.

Przyglądając się tłumowi okopowników współczułem ludziom smutnym z tej ostatniej grupy wiekowej, potępiałem w duchu tych roześmianych młodzików, jakby szli na piknik... Sam czułem przygnębienie, pewnie tak jak ci starsi z pochodu. Miałem się cieszyć i czynić wrażeń, iż okupanci niczego złego nie czynią wiodąc nas pod przymusem, w kurzu, do rycia ziemi... w obronie III Rzeszy? W chwili tej czułem się jak wygnaniec-katorżnik wiedziony przez wroga w powodu kary za jakieś popełnione winy. Ochłonąwszy nieco z tych niemiłych wrażeń, z powrotem zacząłem wypatrywać w kroczącym tłumie mojej Mamy, co praktycznie nie dawało żadnej pewności, że jej tutaj nie ma.

Tymczasem w miarę pokonywania kilometrów, mimo kilku postojów, tempo marszu jeszcze spowolniało i nic tu nie pomagały ponaglenia Niemców w celu jego przyspieszenia. Wreszcie i te stopniowo zamilkły, jak i wszelkie rozmowy kroczących. Od gwaru tłum przeszedł do przygnębiającej ciszy, przerywanej tylko odgłosem stąpających i monotonnym poszumem drzew przydrożnych. Wraz z zapadającymi ciemnościami dał się wyczuć nowy nastrój ludzi: zmęczenie fizyczne i psychiczne oraz oczekiwanie na kres marszu. Nawet Niemcy dostosowali się do niego: jadąc na wozach – milczeli.

Około godziny 22.00 zarysowały się czarne kontury wioski, Modzerowa.

Okrzyk ulgi popłynął na ten widok z setek ust i jak grom z nieba zabrzmiała potężnym głosem nasza pieśń „Serdeczna Matko”. Miarowy jej ton płynął długo, długo nad szczytami drzew podnosząc się gwałtownie, to obniżając na przemian. Donośne echo, jak gdyby w odpowiedzi wtórując, wlewało w serca idących jakąś słodycz nieziemską, nutę czułości, rozrzewnienia i ulgi. Wszyscy stanęli, część słuchała, ale większość śpiewała. Nawet żandarmi z „rasy panów” – pewnie zafascynowani pięknem melodii i wyraźnie zaskoczeni okolicznością jej wykonania – bez protestu i z podziwem słuchali jej do końca. A pieśń płynęła żalnością i nadzieją, prośbą i nutą skargi do Boga oraz matki, rozlewając się już prawie w ciemnej przestrzeni. Jej echo odbijało się od ziemi i dążyło ku niebu... Wkrótce wszyscy z naszej grupy zostali rozkwaterowani w chłopskich stodółach. Czyżby pieśń pomogła?

Słońce było już dość wysoko, gdy ok. 5.00 (1 sierpnia) przebudziłem się nazajutrz po tej, znów nie tak długiej tułaczce do rozległej wsi Modzerowa. Po umyciu się pod studnią i skromnym śniadaniu (chleb z marmoladą, pomidory i od właściciela gospodarstwa słodkie mleko) mogłem się rozejrzeć w sytuacji „na świeżym powietrzu”, zwłaszcza że pogoda sprzyjała.

Za kwaterę służy nam stodoła, w której wraz ze mną umieszczono 15 osób, wśród nich jest i kilku moich współpracowników z fabryki. Trzymamy się razem, ale mimo to czuję się bardzo osamotniony, jak drzewo wyrwane z korzeniami i porzucone gdzieś na gorących piaskach Sahary. Wkrótce razem z kolegami udałem się do punktu zbornego w Modzerowie dla otrzymania przydziału konkretnej grupy oraz pracy, gdzie także bez powodzenia, Bogu dzięki, zacząłem wypatrywać mojej Matki.

W ten słoneczny dzień jak spojrzeć, szosa od strony Włocławka pokryta była lasem głów miejskiej cizby, przybywającej nieustannie z miasta do Modzerowa w grupach i pod nadzorem „żółtych koszul” (SA). Tych ostatnich słychać było ze wszystkich stron. Groźnymi, niekiedy tonem wściekłych psów, rozkazami Niemcy, także po polsku, próbowali formować grupy robocze, określać kierunki marszu w pole do kopania rowów ochronnych, zapanować nad tym jednym wielkim bałaganem. Wszędzie panował przeraźliwy wrzask i nie dające się opisać zamieszanie, chyba świadomie utrzymywane oraz powiększane przez naszych. Jak się okazało, cały ten dzień Niemcy przyjmowali i rozdysponowywali ze swej kwatery we wsi nowe grupy okopowników polskich.

W kuchniach wojskowych przywieziono obiad, na który składało się: ok. 250 gram chleba żytniego, 3 deko margaryny, 20-25 deko kielbasy z domieszką koniny oraz na popicie czarna kawa zbożowa nieco posłodzona sacharyną. Wspaniałomyślni, nieprawdaż? Zostałem przydzielony do grupy nr 22, lecz wszystkie grupy z „mojej” kolumny pracę zaczęły dopiero w dzień następny, w środę (2 sierpnia) po śniadaniu. Jedna grupa liczyła 40-45 osób a nadzór nad nią sprawował starszy mundurowy SA-owiec lub cywil. Dla szczegółowych zadań w samej pracy tworzone w niej dwie-trzy podgrupy. Mojej przypadł „opiekun”, ok. 35-letni Ukraińiec w cywilu. Z nim to w dniu przydziału odbyliśmy już „apel”, podczas którego mówił (po polsku) o powadze prac, podkreślał wagę pracowitości, objaśniał szczegóły przydzielanych czynności. Nie groził nikomu.

Kolację w tym pierwszym dniu „na szanfach” przywieźli ok. 21.30, jak mi powiedział kolega, gdyż nie mam zegarka. Była to zupa jarzynowa chochlą nakładana przez Polkę z bańki na mleko do aluminiowych misek (pół litra), kromka ciemnego chleba i kawa jak na obiad. Przydzielono nam aluminiowe: łyżkę, widelec, miskę i kubek dla każdego. Leżąc do północy w stodole na słomie rozmyś-

lałem nad minionymi wrażeniami tego pierwszego dnia to smucąc się, to pocieszając na przemian. Wreszcie zapadłem w nerwy, przerywany sen.

Praca przy kopaniu okopów jest nad wyraz ciężka. Zaczyna się zaraz po pospiesznym śniadaniu: wymarsz na swój odcinek o 7.00, półgodzinna przerwa na „suchy” obiad w południe i po zakończeniu robót (o 19.00) kolacja z zupą i chlebem, niekiedy kapusta z koniną czy kasze z sosami. Początkowo byłem przydzielony do grupy „leśnej”: razem z innymi zrzyłem piłą ręczną, następnie strugiem korowałem świerki, nosiłem je do wykopów, także robionych ręcznie łopatami, szpadlami, kilofami, łomami. Przydatne w tych pracach były taczki, nosidła na plecy, topory. Ścięte drzewa dzieliłem na odpowiedniej długości paliki i przy pomocy ręcznych młotów wbijaliśmy je, tworząc umocnienia rowów przeciwczołgowych (ok. 6 x 3 metry) oraz bocznych nisz zapewne dla żołnierzy i ładunków. Prace te kończyło – już przy pomocy kobiet – maskowanie piasku dostarczaną z lasu darnią.

Pracom – pod nadzorem oficerów z Wehrmachtu i szefów komanda – w zasadzie zawsze towarzyszyły okrzyki, połajanki, nawet pobicia robotników, którzy w pracy marudzili, zbyt często wychodzili do lasu „za potrzebą”. Przyznaję, iż mimo ponaglań pracowaliśmy niemrawo, niewydajnie. Przecież była to praca na rzecz wroga, przeciw wschodniemu sojusznikowi, a ponadto bardzo żalowaliśmy tego lasu, którego drzewostan niknął z każdym dniem. Muszę też dodać, iż „mój” Ukraińiec, zawsze ubrany po cywilnemu i ze znaczkiem swastyki w klapie, nie krzyczał, nikogo z grupy nie uderzył, ale pilnował pracy. Jego „ludzką twarz” miałem możliwość odczuć bezpośrednio. W miniony czwartek zatrąłem się kolacyjną zupą, a w piątek bóle żołądka i brzucha tak się nasiliły, że miałem trudności nawet z chodzeniem. Mój nadzorca ukraiński – a powiedział mi już kilkakrotnie, iż wiekiem i wyglądem przypominam mu jego zmarłego syna – słusznie uznał, że choroby nie symuluję. Ponieważ nie miał żadnej apteczki z lekami (pretekst to czy rzeczywisty powód – tego nie wiem do dziś), zwolnił mnie w sobotę z pola już o 18.00... do domu na wyleczenie.

Radość moja wielka, gdyż Mamę i Jerzego zastałem w domu. Jej pracę w wykopach odroczyli a brata zostawili jeszcze w spokoju. Przynajmniej teraz mogłem wziąć mikstury na żołądek: zioła, kaszkę mannę, krople, zjeść coś innego niż w Modzerowie, umyć się w zagranej wodzie, wreszcie mogłem psychicznie odtajać.

Już leżąc i rozmawiając z Mamą i Jerzym do północy, mogłem od nich usłyszeć i to, na co uwagi nie zwracałem: byłem bardzo wychudzony oraz silnie opalony na brąz. Mimo osłabienia nie byłem jeszcze w najgorszej kondycji fizycznej. Mama zasygnalizowała, mimo moich protestów, że w związku z tą moją chorobą podejmie starania w fabryce o zwolnienie mnie z pracy w Modzerowie. Usłyszałem też nowiny, iż przed tygodniem w Warszawie Polacy z Armii Krajowej podjęli powstanie zbrojne i podobno nawet odnoszą sukcesy. Zasnęłam z myślą, że wołałbym tam do nich iść niż do Modzerowa...

Dziś wstałem przed 4.00, zjadłem coś gorącego, Mama zaopatrzyła mnie na drogę w trochę żywności i w wielkim żalu pomaszerowałem na szańce. Fizycznie i moralnie czułem się lepiej, zdrowiej, nawet wypoczęty, stąd znów przebycie tych kilometrów drogą i przez lasy nie zmęczyły mnie zbytnio. Mój nadzorca przyjął mnie z powrotem życzliwie, właśnie zmienił mi nieco pracę na lżejszą. Pytał o moją rodzinę. Podziękowałem mu za to zwolnienie, wyraziłem współczucie z powodu straty syna (nie pytałem o szczegóły), powiedziałem też o okolicznościach sprzed roku śmierci mojego Rodzica. Był wstrząśnięty.

Gdy teraz piszę w zeszycie te słowa (a nawet najbliżsi moi o tym nie wiedzą), drzę na wspomnienie tej śmierci. Po niej trzymamy się razem, dzielimy wspólne losy życiowe. Starszy mój brat Mietek wciąż jest od nas izolowany jako robotnik w Poznaniu. A dziś? Oto jestem w stodole, z której wnętrza widać nocami księżyc i gwiazdy, wszędzie brudno, myszy chadzają po nas, po sianie, po słomie. Pewna niechęć człowieka ogarnia, ale pamiętam, iż mogło być jeszcze gorzej.

Modzerowo, 26 sierpnia 1944 roku (sobota)

Znów dotarły do mnie informacje, że nasi powstańcy w Warszawie odnoszą jakieś zwycięstwa. Aż nie chce się wierzyć, zwłaszcza iż nie znane są szczegóły wydarzeń. W każdym razie wieści te podnoszą nas na duchu ogromnie. Jest także wiadomość o żołnierzach polskich walczących razem z Armią Czerwoną przeciwko hitlerowskiemu Wehrmachtowi. Lepiej zorientowani szepczą po cichu, że ci „od Ruskich” dochodzą w walkach także do Wisły, albo już są nad nią. Czyżby te dwie grupy Polaków miały się połączyć? Nie wiem, na zdrowy rozsądek – to tak. Niemców trzeba bić wszędzie.

Wiem natomiast, co okupanci napisali w ogłoszeniu, także po polsku, które wywiesili w tej wiosce na ścianie komendantury niemieckiej i zapewne także gdzie indziej. Mówi ono, że fałszywe jest przekonanie, iż władze niemieckie zabiegają o względy ludności polskiej. Stąd okupant (są tutaj stosowne tytuły władz) nakazuje pod groźbą surowych kar za nieposłuszeństwo ściśle i natychmiastowe wykonywanie przez Polaków wszystkich poleceń komendantury.

Sądzę, że jeszcze nie czas cieszyć się ze świtającego wyzwolenia. Co najwyżej, jak to się wciąż po cichu zmagamy, nasze prace wykonujemy marudnie, powoli. Trzeba to jednak czynić tak, aby się nadzorcy w oczy nie rzucało, do czego doszedłem już wcześniej. Za takie „spowolnianie pracy” w sąsiadującej grupie „żółtek” pobił dotkliwie wielu ludzi. Postawa mojej nadzorce wobec nas wydaje

się być mniej nerwowa od zachowań funkcjonariuszy mundurowych. Jest układny, ostrzega, aby nie dawać powodów do stosowania wobec nas kar. W tym moim wygnaniu do okopów mam jednak trochę szczęścia. W naszych pracach nie zaszły zmiany: ja przy palikach, niekiedy i maskowaniu terenu, zakopywaniu gałęzi (z pocięciem ich), na słomie w stodole, niedożywiony jak wszyscy inni towarzysze niedoli, opadający wyraźnie z sił, bez żadnej pomocy Czerwonego Krzyża, gdyby zaistniała taka konieczność. Bogu dzięki, mój organizm już się pewnie przyzwyczaił do tych nieco kwaskowatych zup, do koniny i brukwi, jałowej kapusty, chleba-gliny, czy do napoju nazywanego kawą. W każdym razie jakoś żyjemy, a to przecież dużo znaczy. Wciąż nam bardzo żal wycinanego lasu... dla wroga.

Włocławek, 31 sierpnia 1944 roku (czwartek)

A oto znów jestem w domu, co więcej – wskutek starań mojej Mamy i „WISŁY” zostałem z pracy w Modzerowie zupełnie zwolniony z uwagi na moje poważnie nadwyżone zdrowie.

Otrzymałem zatem zwolnienie z tej strony, na którą najmniej liczyłem. Może los, Boża Opatrzność trochę mi sprzyja? To Ona nadaje wydarzeniom taki tok rozwiązań, aby ludzie mogli je tłumaczyć swoimi rozumowymi racjami. Ona nie demonstruje krzykliwie swej ingerencji w świat ludzi, a działa jakby z ukrycia. Bóg, widać, ma w tej metodzie działania swoje cele, których ludzie mogą się tylko domyślać.

Włocławek przed ucieczką Niemców

„Wojna toczy się zawsze tak, jakby ludzkość nie miała pojęcia, co to sprawiedliwość”.

Elias Canetti, Myśli. Wybrał, przełożył i wstępem opatrzył Janusz Danecki, Warszawa 1976, s. 20.

Włocławek, 11 listopada 1944 roku (sobota)

Niestety, stan wojny trwa i trwać będzie, nie wiadomo, jak jeszcze długo. A zdawać się mogło, iż w sierpniu i wrześniu bieżącego roku potęga niemiecka zostanie podłamana przez mężnych powstańców warszawskich i wróg nie zdoła, naciskany przez „czerwonych”, zlikwidować ich opór... Nic z tego, armia niemiecka bronią pancerną i inną na powrót przygniotła podnoszącą się Polskę. Już wiemy, iż kapitulacja dowódcy Armii Krajowej, gen. Tadeusza Bora-Komorowskiego miała miejsce 2 października. Powstanie z udziałem harcerzy „Szarych Szeregów” nieodwołalnie runęło, a jego uczestnicy, jeśli przeżyli, wraz z mieszkańcami niszczonej Stolicy wciąż są wywożeni do obozów i cierpią represje. Straszne tym bardziej, że ta przegrana dokonała się wręcz na oczach Armii Czerwonej zza Wisły. Czy tak postępuje sojusznik? Chyba, iż przyczyn tej bierności „czerwonych” jeszcze nie znamy.

Kląską Polaków jestem tak przejęty, że drzę z żalu. Nie tylko mnie nurtuje myśl: nasi walczyli o wolność nie tylko własnej Ojczyzny, ale w ogóle osłabiali faszystowską gadzinę. Jak to się stać mogło, iż na oczach „Ruskich”, także polskich formacji idących z nimi oraz wielkich aliantów z Zachodu, polskie powstanie upadło?

Włocławek, 17 grudnia 1944 roku (niedziela)

Ciekawe, iż „niezwyciężona” armia niemiecka, jak powiadają ci odznaczeni swastyką, wskutek silnej (jak silnej, gdzie? – nie wiem) ofensywy Związku Radzieckiego (czyli „Sowietów”) w ubiegłych tygodniach okazała jakby przestraszona, straciła na swej bucie. U cywilnych Niemców także rysowały się niejaki zmiany w stosunku do nas, są niby bardziej ugodowi. Ale mimo wszystko trwa codzienny tryb życia pod okupacją, a zaczął się jej szósty rok.

Trochę korci mnie, żeby się pochwalić, iż mimo niewoli niemieckiej i odcięcia przez wroga od polskiej szkoły czytam o naszych dziejach nie tylko z dostępnych mi podręczników, studiuję (jeśli wolno tak rzec) mapy, przeglądam słownik polsko-angielski i polsko-francuski. Może to kolejny znak, że będzie mi to kiedyś potrzebne? Wciąż uważnie słucham starszych i odnotowuję w pamięci ich uwagi także na temat obecnego naszego „codziennego trybu życia” pod okupacją.

Tymczasem okupant wciąż wytrwale pracuje na swe przyszłe pokaranie. Nadal za uchylanie się od przymusowego kłaniania Niemcom „mundurowym” (także kolejarzom i młodzikom z Hitlerjugend) grozi kara, nawet bicie, co jest z arsenału skrajnego poniżenia godności człowieka.

Sam doświadczyłem tego poniżenia nie raz. Pewnego przedpołudnia (miałem wówczas 12 lat), w drodze przez skwer Zielonego Rynku na ul. Św. Antoniego po mleko, byłbym za nieukłonienie się młodemu oficerowi SS pozbawiony życia. Nie zauważyłem go siedzącego na ławce z dziewczyną. Napuścił na mnie (przy pomocy hasła) owczarka spod ławki, którego też nie dostrzegłem, a uciekać czy cofnąć się było już za późno. Wykarmiony pies (w policyjnej szkole psów?) nie dawał mi szansy na obronę. Byłem za słaby. Już mnie, warcząc i szczerząc kły, przewrócił, sięgał do gardła, gryzł i szarpał dłonie, przedramiona, którymi w milczeniu się zasłaniałem, darł ubranie. Niemiec śmiał się na widok

mojej krwi. Dziewczyna spowodowała, że wreszcie odwołał zabijającą bestię (też hasłem) i mogłem powstać z trawy, dokąd się w starciu z psem musiałem przetoczyć. Krzychał, że nie oddałem mu ukłonu. Nie uderzył mnie może dlatego, iż podeszła do mnie także dziewczyna. Dał mi 7 marek za podartą bluzę i rzekł, żebym przez skwer (tylko dla Niemców?) nie chodził. Mówił czysto po polsku. Przysnaję, że odtąd nie ufam takim psom. Po owo nieszczęsne niby-mleko poszedłem bardzo roztrzęsiony, ocierając się z krwi chusteczką jak mogłem. Do domu wróciłem inną trasą. Przemilczę, jak moi domownicy na moje poranienie zareagowali.

Co do mleka odciganego dla polskich dzieci do lat 14-tu: pół litra tygodniowo na jedną osobę. Gdy trzeba je było odbierać w sklepie przy ul. Kościuszki (na rogu, w połowie drogi do stacji kolejowej), okupant dawał ok. 300-350 osobom (Polakom) z regionu dwie godziny na jego wykupienie... przy jedynych wąskich drzwiach. Jedna Polka odcinała talon z kartki i pobierała należność, druga nalewała półlitrową miarką z bańki do naczynia kupującej osoby. Kobiety te mogły się dwoić, troić w pośpiechu, jednak nigdy nie zdążyły na wyznaczony czas obsłużyć wszystkich. Powstawało zamieszanie, dochodziło do kłótni, przepychanek, naruszania „kolejki” kupujących. Podobne sytuacje tworzyły się i przy zakupach innych artykułów w innych sklepach: 2 godziny, tłum z setek ludzi, jedyne drzwi... Niemcom świadomie chodziło o stwarzanie takich utrudnień, mieli okazję interweniować kolbami żandarmów, wyzywać nas od „polskich świń”, co to nie potrafią utrzymać „Ordnung” (porządku).

Włocławek, 25 grudnia 1944 roku (poniedziałek)

Nadeszły święta Bożego Narodzenia, choć prawie nic nie potwierdza tej doniosłej chwili. Na przykładzie własnej rodziny, która przecież w porównaniu z innymi udręczonymi rodzinami polskimi wyjątku nie stanowi, muszę powiedzieć, że nie odczuwamy tych świąt tak, jak chcielibyśmy obchodzić. Nie czujemy radości, u nas były głównie żale, smutek, ból, iż przyszło nam żyć pod rządami szatana w ludzkiej masce. Mogliśmy z Mamą, jak miliony naszych ziomeków cierpiących okupację, życzyć sobie przy oplatku dożycia końca tego piekła, wołać o wolność kraju, o sprawiedliwość i wyzwolenie. Czy jednak z Rodzicielką i braćmi dożyjemy jego nadejścia? Komentowaliśmy dziś dymiące krematoria Majdanka i Oświęcimia – miejsc masowych morderstw, nie wyłączając dzieci. Cierpimy, rozmawiając tylko o tym, a cóż mogą czuć idący do komór gazowych?!

W święta te mamy trzy dni wolne od pracy. Okupanci próbują zachować pozory szanowania tradycji religijnych. Mimo wszystko, te „wolne” dni pozwalają na oderwanie się od życia zegarowego, choć to święto jest równie dla nas smutne jak ubiegłoroczne: bez Ojca a i bez Mietka, bo go z Poznania nie puścili. Święta spędzamy także bez kontaktów z rodziną Mamy, Heleną i Julianem Urbańskimi oraz z rodzinami jej braci: Waławem i Stanisławem Szumińskimi z Włocławka. Młodszy, ostatni brat naszej Mateczki przebywa gdzieś „na robotach” w obozie. Nie posiadamy kontaktów z rodzinami z Fałkowa, czy ze Skarżyska Kamiennej. Ze znajomymi rodziców we Włocławku podczas świąt się nie odwiedzamy a poza nimi – raczej rzadko. Oni wszyscy mają swoje problemy, są na pewno mniej biedni niż my, ale także walczą o przetrwanie. Okupacja zrywa więzi rodzinne Polaków, powoduje u ludzi znieczulicę. Rozumiem te skutki wojny, ale mimo wszystko boleję z powodu tych zerwanych czy rzadkich kontaktów. W biedzie ludzie powinni sobie pomagać, dodawać sił, powinni się kochać.

Z innych zmian naszego życia, już innego kalibru, wracam uwagę na to, iż wróg od kilku dni zezwolił, aby na chlebowe karty zaopatrzenia kupować mięso i wędliny gorszego gatunku. Nie wiem, dlaczego zezwolił, ale mogę rzec, iż wiele to naszych warunków wyżywienia nie poprawi. Wciąż odczuwamy zwiększające się poczucie niedosytu i głodu. Niemcy, nie tylko moim zdaniem, pozorują zmianę stosunku wobec Polaków na niby bardziej ludzki.

Włocławek, 1 stycznia 1945 roku (poniedziałek)

Jest Nowy Rok, na ogół dzień wielki, ale wśród nas jakoś radości nie przynosi. Odnoszę wrażenie, jakby chyłkiem, wstydliwie umykał z naszego pola widzenia, bez zabaw, tańców, wiwatów i ogni, które były tradycją na Sylwestra. Nawet Niemcy czczą to święto jakby nieco z umiarkowaniem, ciszej. Słychać, iż „od czerwonych” dostają tęgie lanie na frontach wschodnich. Już wiemy więcej z „poczty pantoflowej”, że z nimi idą polscy żołnierze, uformowani w rejonach Moskwy pod gen. Zygmuntem Berlingiem po tym, jak gen. Władysław Anders wyprowadził z terytorium Związku Radzieckiego do Iranu Wojsko Polskie. Te ostatnie sprawy nie tylko w fabryce wśród naszych są burzliwie dyskutowane, ale szczegóły pomijam. Wszyscy się cieszymy na wiadomość, że i sojusznicy anglo-amerykańscy odnoszą zwycięstwa nad faszystami: niemieckimi w północnej Francji, Belgii i Holandii, włoskimi i hitlerowskimi we Włoszech, w rejonie Morza Adriatyckiego i gdzieś tam jeszcze w Europie. Mówią o bohaterskiej postawie Polaków z Armii Andersa we Włoszech centralnych jeszcze z lata ubiegłego roku pod Monte Cassino. Dochodzą nas wieści o sukcesach aliantów na Pacyfiku nad Japończykami.

Same dobre wiadomości z frontów. Widać z nich, choć są niepełne i ogólnikowe, że faszyci wszędzie dostają w skórę, zawęża się ich pole działania, jak to pięknie rzekł jeden z majstrów. Nas, oczywiście, najbardziej obchodzą wrogowie spod naszego, polskiego domu. Szczegóły o rozmaitych tarcjach politycznych mnie nie obchodzą. A są i to bardzo denerwujące. Ważne, iż III Rzesza wyraźnie

przegrywa i to nas raduje. Tylko żeby dożyć końca tej wojny... Ona wciąż rani i zabija, gigantycznie burzy dorobek pokoleń we wszystkich dziedzinach życia. Jako sprzymierzeniec śmierci sieje zagładę narodów w imię opętania, zwanego „Lebensraum” (przestrzeń życiowa). Myślę zupełnie poważnie, że wojny – i całe zło wiążące się z nimi – mają miejsce z podpuszczenia diabła. On w ten sposób neguje, unicestwia moralność miłości Chrystusa. Ale cóż z moich wypowiedzi, skoro ten diabeł – antychryst i tak rozrabia.

Włocławek wolny od Niemców

„Los obraca wszystko na korzyść tych, którym sprzyja”.
La Rochefoucauld, Maksymy..., s. 38

Włocławek, 17 stycznia 1945 roku (środa)

Niby nic nowego, a jednak... Wskutek ożywienia frontu wschodniego i chyba szturmowania przez czerwonych Warszawy, we Włocławku trwają ruchy Wehrmachtu i innych jednostek niemieckich, chyba mające na celu przygotowania do walki z „Sowietami”. Broń pancerna z frontu czy na front sunie już naszymi ulicami, zwiększone patrole żandarmerii, większe ilości formacji SA i SS, a to przecież też coś musi znaczyć. Przeloty lotnicze z czerwonymi gwiazdami powtarzają się coraz częściej, lecz nie czynią żadnych szkód. Chyba Rosjanie dokonują tylko zwiadów. Od kilku już dni dochodzą odgłosy huków dalekich armat z frontu. One powodują drżenie szyb okiennych, a nawet co mniejszych budynków. Dla Niemców to znak „memento mori” (pamiętaj o śmierci), za zbrodnie dokonywane nie tylko na ziemiach polskich. Dla nas te huki to kanonada radości i śpiewu. Pewnie nadchodzi sprawiedliwość, czas rozrachunku „panów”!

Mimo wszystko praca w fabryce „WISŁA”, podobnie i w innych zakładach, zdaje się trwać trybem niby normalnym. Słyszę, jak zawsze, zgrzyt i szum pędzących kół transmisji i napędzającego je motoru Diesla. Przyznaję, że ów – zda się szarpiący mózg – hałas nad wyraz wyczerpuje nerwowo i powoduje ból głowy. Ale mrukiwie, ciemne maszyny nic sobie z tego nie robią, ironicznie stoją rzędami w stolarni w stosach trocin i wiórów na ziemi, tak jak w ślusarni.

Niemiecki dysponent „WISŁY”, Daniel W. Spitzbarth, od pewnego dnia nosi się bez munduru SA, jest w cywilu. Nie wzywa już gestapowców, gdy któryś z robotników na jego widok chowa jakieś papiery. Wydaje się być wobec nas nieco łagodniejszy, choć nawet na oko – bardziej zdenerwowany. Ma ku temu – i zapewne do przygotowania sobie rychło bezpiecznej ucieczki z Włocławka – wystarczające powody. Nie bił Polaków, ale krzyczał i wzywał przeciwko nim gestapowców. Sam tego byłem świadkiem podczas „odpytywań” w trakcie „apelu” załogi z biciem robotnika za czytanie akowskiej gazetki. Możliwe, iż ci zabójcy z SS sami z siebie weszli w fabryce za wrogiem.

Może z powyższych przyczyn już nie słyszał wypowiedzi Polaków (z uśmiechem na twarzach...) o „biciu Szwabów przez Ruskich” czy w „odwiecie za masakrę powstańców i spalenie Warszawy”. Muszę dodać, iż nasi nie zachowują w wypowiedziach ostatnio zbytnej ostrożności.

Włocławek, 18 stycznia 1945 roku (czwartek)

Brawo! Huki i wstrząsy dalekich dział z frontu w dzisiejszą noc stały się zupełnie wyraźne. Czyżby Sowietci posunęli się naprzód? Możliwe, choć słychać zdanie, że ów wzmożony odgłos huków jest złudzeniem słuchowym na tle ciszy nocnej. Jednak utrzymuje się on i obecnie za dnia. Poza tym tę noc przerwały wyjątkowo liczne alarmy lotnicze, szum pędzących samochodów, bieżanina z krzykami niemieckich mundurowych. Radia nie wolno Polakom słuchać (pod karą zsyłki lub śmierci), zresztą u nas go nie mamy, ale wiemy, iż wersja administracji hitlerowskiej o nocnych ćwiczeniach sił samoobrony jest kłamstwem. Wydarzenia dnia wskazują, iż nocą już wiele rodzin niemieckich po prostu uciekło z miasta.

Na jego ulicach widać zmiany wprost nieprawdopodobne: panuje zamęt, ruch i nie do opisanego popłoch Niemców (już pozdejmowali znaczki ze swastykami z klap...), zwiększający się w miarę przybliżania frontu do Włocławka. Okupanci już nie kryją swego przerażenia i lęku, ani gestów pojednawczych wobec Polaków. Nie kryją się także, co widziałem na ulicach, z pakowaniem swego dorobku z zamiarem ucieczki. Wszystkie fabryki, prócz elektrowni miejskiej i wodociągów, już nie pracują, a i te zapewne pod wieczór staną. „Moja” fabryka „WISŁA” stanęła dziś o 10.00 rano. Po prostu Spitzbarth poprzez majstrów (nie było apelu!) kazał nam iść do domów i czekać na powiadomienie o wznowieniu pracy. Bez żadnych komentarzy. Istotnie, co tu było wyjaśniać? Także biura i urzędy chyba w większości są zamknięte czy w trakcie pakowania (likwidacji?) akt, zaś ich urzędnicy niemieccy albo nocą, albo teraz uciekają na Toruń, jak widzę na ulicy. Nasi między sobą powiadają, że to błędny kierunek ucieczki, bo także i na tamto miasto trwa ofensywa „czerwonych”. Z doniesień radia zachodniego, słuchanego mimo zakazów, słychać, iż z Sowietami idą żołnierze polscy,

nasi w zielonych mundurach z orzełkami na czapkach oraz polskimi emblematami na pojazdach, np. samochodach, czołgach. Tymi wszystkimi ma dowodzić polska kadra oficerska.

Wszystkie te dane: o zwycięstwach Rosjan, polskich żołnierzach w szczególności – nasuwają wiele pytań, jednak cieszymy się z nich, bo Niemcy uciekają (mają cykorię, jak się powiada wśród robotników). Nikt z nas nie wierzy niemieckim szmatławcom, „próbującym te dane poprzekręcać a z Rosjan robiącym krwiożerczych Azjatów. Jesteśmy tak poruszeni ostatnimi wydarzeniami, iż jakoś spokojnie przyjmujemy fakt o zamknięciu sklepów spożywczych i innych. Na żadne kartki już nie można nabywać żywności.

Jeszcze w godzinach przedpołudniowych ulicami: Płocką, Tumską i Toruńską ciągnęły sznury samochodów wojskowych, pojazdów pancernych, taboru rozbitych oddziałów Wehrmachtu, wreszcie liczne szeregi obandażowanych żołnierzy. Droga marszu po brzegi zajęta wozami, rowerami, saniami z mnóstwem bagażu. Po bokach tego majdanu kroczyli grupami czy pojedynczo uciekinierzy niemieccy cywile. Już są bez buty i pychy, nawet nie reagowali na uśmiechy Polaków, w smutku i przerażeniu zdążają nadal w kierunku Torunia. Wygląda na to, że nadeszła chwila tak długo oczekiwana przez naszych: pogromu najeźdźcy, jego klęski i trwogi. Czy jednak już koniec nazistów, nie będą nas kasać?

Przyglądając się im wszystkim, ze zdumieniem zauważyłem wśród wycofujących się wehrmachtowców także liczne oddziały – oddzielnie kroczące czy jadące na wozach konnych – własowców. Natychmiast dowiedziałem się, iż ci z czerwonymi gwiazdami na czapkach pochodzą z ukraińskich formacji gen. Andrieja Własowa. Podobno ze znaczną częścią swoich wojsk przeszedł na stronę hitlerowców, a już wcześniej słychać było, iż ci własowcy w bestialski sposób uczestniczyli w tłumieniu warszawskiego powstania w 1944 roku.

Ów widok klęski naszych wrogów mimo woli nasuwał myśl, iż ludność Polski we wrześniu 1939 roku podobnie w panice uciekała z nieznacznym bagażem, porzucając swe domy i dorobek całego życia na łaskę wroga. Pamiętam te chwile z przeszłości doskonale. Niemcy dziś uciekają bez przeszkód ze strony lotnictwa radzieckiego (przynajmniej w samym mieście), tylko w trwodze i w pośpiechu. My wówczas byliśmy ścigani ogniem karabinów maszynowych (jeśli już nie bombami) lotnictwa „Luftwaffe”, głównie przez myśliwce Messerschmitty. Trzeba było kryć się podczas akcji wroga po rowach, gdy całą piątką ze znajomymi rodziców, Cecylią i Romanem Stępniami oraz trójką ich dzieci, naszych rówieśników, uciekaliśmy przez Kowal w kierunku na Gostynin¹¹.

I pomyśleć, że ci oto uciekający – to Niemcy, gnębiciele i prześladowcy, którzy sześć lat temu triumfalnie, bez litości w czasie swego „Drang nach Osten” siali śmierć wśród moich bezbronych współziomków... Drżałem z oburzenia na te myśli porównawcze. Czulem szybszy obieg krwi i po raz drugi w moim krótkim dotąd życiu na widok trwogi i przygnębienia mundurowych oprawców nie poczułem współczucia¹². Wstyd mi za ten stan ducha, ale był to nagły odruch mojego zadowolenia i złości jednocześnie wobec Niemców. Spojrzawszy jednak na niemieckie kobiety, na skulone bojaźliwie na wozach i drżące z zimna ich małe, niekiedy płaczące dzieci – drżałem tym razem ze zgrozy i współczucia. Odwróciłem się, aby nie patrzeć i aby nie uронić łzy żalu za tych nieszczęśników. Chociaż żal i litość niezmierną falą targały moją osobowość. Jestem wrogiem Niemców, zgoda, lecz Niemców mordujących, katów a nie wrogiem ich kobiet i dzieci. Czy te ostatnie są czegoś winne? A jeżeli i kobiety niemieckie zachowywały się wobec niewolników polskich, „podludzi” butnie, z pychą? Jeżeli nawet dokonywały jako nadzór w obozach zbrodni, przejawiały znieczulicę wobec naszych, czy wówczas kara nie powinna sięgnąć ich mężczyzn? To oni wywołali wojnę i wplątali do niej swe rodziny. Lecz wracam do tematu.

Słyszę, że wszyscy „okopownicy” już swą pracę przerwali. Część z nich została zwolniona, lecz większość z braku esesmanów po prostu rozeszła się do domów. W gorszym położeniu znaleźli się przyjezdni: aby wrócić w swoje strony część ich wałęsała się po ulicach i czekała na pociągi, a te – jeśli w ogóle są – Wehrmacht rezerwuje jedynie na transporty wojskowe. Zauważyliśmy, iż niektórzy

¹¹ Ostatecznie przez Kowal w dwa dni pieszo dotarliśmy do Lubienia Kujawskiego (28 km), w którym znajdowali się krewni i znajomi naszej rodziny (do Gostynina było ok. 40 km). Ze szczegółów pamiętam wóz konny (z przywiązaną kozą, od której mleka mi nie dano, bo odszedłem na stronę). Wiózł pościel, ubrania, żywność, przedmioty gospodarstwa domowego. Drobne pakunki nieśli sami dorośli. Pamiętam przerwy na odpoczynek i posiłki, wołę małych dzieci, żeby ich ojcowie nieśli kawałek drogi na własnych plecach. Nękanie ostrzałem niemieckich pilotów - już nie mówiąc o ustępowaniu drogi wycofującym się polskim żołnierzom - często kryliśmy się po rowach. Pamiętam kupowanie w miasteczkach-osadach mleka, u krewnych naszej ciotki na wsi czarnego i gliniastego (bardzo drogiego) chleba i kaszanki. Ta ciotka to Kazimiera, żona Józefa, młodszego brata naszego Rodzica. Sam Józef był wówczas na froncie, powołany do włocławskiego 14 pp; był i nocleg na powietrzu pod pierzynami. Z inicjatywy naszego Taty, bodaj piątego dnia - gdy wehrmachtowcy nas dogonili nie czyniąc krzywdy - przerwano tę tułaczkę. Nie kojarzę szczegółów powrotu, pewnie odbył się na wozie konnym. Dobytek w domu nie był naruszony. Inne szczegóły - pomijam.

¹² Poprzednią ucieczkę Niemców obserwowaliśmy w Bad Oldesloe wczesnym latem 1943 roku. Uciekali z płonącego i bombardowanego Hamburga.

z takich oraz miejscowe rozmaite podejrzane elementy węszą na ulicach za jakimś łupem ze sklepów i rabunkiem. To dlatego starsi, nawet i z „WISŁY” zmagają się, aby dawać baczenie na takich złodziejasków („takie elementy”, „wolne ptaszki...”) gotowych do włamań, gdzie się tylko da. Polecają pilnowanie maszyn i dobra fabryki, „bo będziemy tutaj pracować także i po wojnie”. Nakazują także pilnowanie, aby nikt nie wysadził w powietrze czy nie niszczył tego dobra. Mówi się wyraźnie, iż Niemcy – których oddziały SS i policji znajdują się jeszcze w mieście, choć jakby mniej widoczne – zaminowali most stalowy na Wiśle oraz niektóre zakłady produkcyjne. O moście wiadomo na pewno, o pozostałych niewiele wiemy.

Mimo wyraźnych przejawów paniki u okupanta, a nawet ucieczki jego funkcjonariuszy, urzędników, rodzin – niemiecka wojskowa komendantura Leslau przed południem wywiesiła obwieszczenie po polsku. Najdalej do 19.00 Polacy mają opuścić miasto „w celach strategicznych”. A więc ewakuacja – jak to się nazywa. Wolno wziąć dokumenty (w celu ich późniejszego oddania Niemcom) i podręczny bagaż. Miejscem zboru ludności w tej akcji – Park Miejski nad Zgłowiączką z wejściem od strony Katedry lub od ul. Kilińskiego. W rozporządzeniu jest ostrzeżenie, iż uchylających się od tych poleceń czeka kara śmierci.

Sprawa wygląda na poważną. Nasi, jak widzę na ulicy, zachowują się tak, jakby zarządzenia nie czytali. Dalsza ewakuacja z parku? Dokąd i jakimi środkami, skoro ich nie mają nawet dla wojska? Tu się święci zamiysł wroga dokonania na nas wielkiej zbrodni. Naziści chcą w niej wykorzystać obrzydliwą pogodę: mróz, śnieg, grad, wreszcie dokuczliwy wiatr. Iść w pole, za miasto, w kierunku frontu czy do parku pod kule karabinów maszynowych? Ktoś już wypatrzył, że tam je wehrmachtowcy ustawili. Trudno uwierzyć, iż w celu obrony miasta... Więc chcą nas wystrzelać, jak kaczki?¹³. Mimo lęku w gronie mojej rodziny (zapewne i we wszystkich innych, polskich) rozważaliśmy, co czynić. Nigdzie nie wychodzić, zamknąć się w mieszkaniu i czekać na bieg wypadków? Wróg jest w panice, przejawia chaos, stąd nie wydaje się możliwe, aby nas z mieszkań wyciągał siłą. Nie ma na to ludzi. Za dnia nie było widać, żeby organizował w tych celach jakieś grupy represyjne, pacyfikacyjne. Aczkolwiek groźba zmasakrowania nas przez rozwścieczonych esesmanów istnieje, wszak w powstaniu warszawskim w ubiegłym roku palili oni domy wraz z mieszkańcami. Ale teraz wydaje się, iż nie mają czasu, są zajęci organizowaniem własnej ucieczki, a nie dobieciem opornych... Trudny wybór, jego ceną może być nasze życie.

Mimo wszystko trzeba nam było podjąć ryzyko takiego rozwiązania. Park – odpadał, ucieczka przez front? Jak, w którym kierunku, co z jego przejściem w ten wiatr, mróz i śnieg? To już pewna śmierć. Wszystkie te racje rozważaliśmy w naszej trójce i ostatecznie Mama zdecydowała: pozostajemy w domu, zamknęci w mieszkaniu, w oczekiwaniu na nocny łomot esesmanów do drzwi. Ale ani Ona, ani my – chłopcy, nigdy nie należeliśmy do odważnych. Ja, jako RAK, szczególnie lękam się wszelkiego zamętu, krzyku, niepokoju, ale w obliczu tych niepokoju wraz z najbliższymi potrafię zachować jasność rozumowania i spokój na tyle, aby móc obserwować „początek końca” – jak na to wygląda – panowania rasy panów w „Kraju Warty”. Razem z bratem uspokajamy Mateczkę, by nie płakała. Do łóżek właśnie się kładziemy... w ubraniach, obok nich mamy już spakowane najbardziej potrzebne przedmioty. Chroń nas, Boże...

Włocławek, 19 stycznia 1945 roku (piątek)

Wieczór i noc przeszły jakoś bez „wizyty” hitlerowców. Nikt z nas oczywiście nie spał z powodu poczucia zagrożenia, nocnego alarmu, huku i detonacji pocisków armatnich spoza miasta. Przez całą noc dochodziły z ulic odgłosy wzmożonego ruchu wojsk niemieckich. Jestem pewien, iż ta właśnie noc skróciła nam wszystkim okres aktywnego życia. Za sprawą lęku przed łomotaniem nazistów do naszego mieszkania. Był on tak silny, że dosłownie powodował drżenie nóg, rąk, przyspieszone tętno bicia serca a nawet trudności z oddychaniem. Podobny stan napięcia nerwowego i panicznego lęku przeżyaliśmy wiosną i wczesnym latem 1943 roku we wiosce Tralau-Vinzier w Holsztynie, gdy nocami słyszeliśmy warkot lecących brytyjskich samolotów, zrzucających nawet bomby. Mieliliśmy jednak wówczas świadomość, iż tam w górze lecą sojusznicy na Hamburg, Bremę, Kilonię czy na Berlin. Tutaj zaś...

Przerwanie niemieckiej linii obronnej jest zdecydowanie pewne. Ciężka artyleria hitlerowców grzmi na front już z samego Włocławka, przynajmniej z jego rogatki, jak można się słuchowo zorientować. Rosjanie niechybnie przybliżyli się do miasta, zapewne niedługo do niego wejdą. Zaczynamy wierzyć w przegraną III Rzeszy. Rano wyszedłem z bratem Jerzym na ulice miasta, oczywiście bez zbliżania się do jego tras wylotowych, gdzie jeszcze są formacje niemieckie.

Ruch i gwar uliczny – zbliżony do wczorajszego. Dominują w nim Polacy. Administracja niemiecka jakby nieobecna, Niemcy (cywile) – bez impetu i typowej dla nich arogancji wobec naszych. Można sądzić, iż „rasa panów” już Polakami się nie zajmuje. Ci, co z niej jeszcze we Włocławku pozostali po

¹³ Nie słyszałem później, żeby ktoś z naszego podwórka czy osiedla poszedł do tego parku lub zwał dokumenty (przed wojną park im. Henryka Sienkiewicza). Groźba wystrzelania tam Polaków była realna. Takie czyny Niemcy już mieli na swym sumieniu. Myślę, iż od masakry uratowała nas bliskość frontu wschodniego.

ostatniej nocy, zajmują się tylko własnym bezpieczeństwem. Właśnie widzieliśmy ich przygotowania do opuszczenia miasta.

W samo południe był spory nalot na nasz gród lotnictwa radzieckiego. Niemcy postraszyli Rosjan bronią przeciwlotniczą, zresztą bezskutecznie. Rosjanie zrzucili kilka bomb na wiślany most, też chybiając i odlecieli. Kończę w oczekiwaniu dalszych wydarzeń. Jesteśmy świadomi, że znaleźliśmy się wraz z miastem na linii frontu walk, skąd można spodziewać się wszystkiego, nawet śmierci.

Włocławek, 20 stycznia 1945 roku (sobota)

Wszyscy w naszej trójce przeżyliśmy. Ale powiem po kolei. Elektrownię miejską sami Niemcy uszkodzili o godz. 1.00, stąd cały Włocławek pozbawiony jest prądu. Później nastąpiła długa i częsta wymiana strzałów armatnich i czołgowych, a także karabinów maszynowych. Pociski artylerii radzieckiej ze świstem przelatywały ponad Włocławkiem, chyba na tylne linie niemieckie w rejonie Dolnego i Górnego Szpetala. Rankiem wszelkie strzały ustały i cały gród zalegała cisza grobowa. Nawet nasza Mama uspokoiła się i nasłuchiwała. Przyszaję, że tę ciszę też było trudno wytrzymać. Właśnie wówczas, przy próbach napicia się wody, stwierdziliśmy, iż jej w kranie nie ma. Wodociągi wyłączono? Tę co najmniej godziną ciszę (oczekiwania na śmierć lub na cud?) nagle przerwały dwie, w krótkiej od siebie przerwie detonacje. Ziemia z naszym domem zadrżała, potem całą falą szedł miastem łoskot walących się kamieni i czegoś tam jeszcze.

Ów huk rozładował nasze nerwy, wszak coś się dzieje... Straszna to wojna, co każe ludziom więcej cenić huk, zgrzyt żelaza, świst kul i jęk rannych od ciszy. Lecz co to? – gubiliśmy się w nasłuchiowaniu, drząc z niepokoju i niepewności. Wciąż bowiem mogliśmy usłyszeć warkot samochodów z podwórka i gardłowy, zienawidzony krzyk esesmanów, jak to bywało przez ostatnie sześć lat... Po nagłym grzmocie ludzkich piorunów jednak ponowna cisza zalegała miasto, tylko z dala gdzieś, jakby z Zawisła, szły odgłosy salw karabinowych. Tak, teraz zrozumieliśmy: to most na Wiśle, łączący centrum Włocławka od strony Katedry z jego prawobrzeżną dzielnicą Dolnym Szpetalem, został zerwany przez wycofujące się oddziały wehrmachtowców. Uczyniły to pod naciskiem nacierających Rosjan. Może to dla nas w najbliższych godzinach oznaczać wiele – gubiliśmy się w komentarzach z naszą Mateczką. Zerwany most oznacza, iż Niemcy przegrali Włocławek, już nie wrócą, my ocaleliśmy, „czerwoni” wygrywają... A widząc uspokojoną twarz Rodzicielki, dodałem głośno: Panie Boże, może to dziwne, ale proszę, abyś pomógł czerwonym...

Mimo wszystko trwaliśmy w napięciu i niepewności. Nie wierzę w bohaterstwo bez lęku. Ani my, ani inni Polacy naszego osiedla nie czują się bohaterami. Tych trzeba wypatrywać w szeregach czynnie walczących z faszyzmem, nawet nie wiem, pod jakim dowództwem oraz jakich armii walczących na Wschodzie, także na Zachodzie. Nas w mieszkaniu, słabych i bezbronych, wciąż targają lęki z poprzedniej nocy, ponieważ nadal trwaliśmy na pograniczu życia i śmierci. Byliśmy jednakowo gotowi na przyjęcie obydwu tych ewentualności...

(Pod wieczór)

Gdy z ulic zaczął do nas przenikać jakiś gwar, około 8.00 wyszedłem z Jerzym z mieszkania. Tak, Włocławek jest wolny od Niemców. Podobno ostatni pociąg z nimi odszedł w stronę Torunia wczesnym rankiem. Kilka budynków wojskowych w mieście, nie opodal Zielonego Rynku, podpalonych rękoma uciekających – płonie. Wśród nich i ten magazyn, bodaj żandarmerii, obok hal targowych. Obydwaj z bratem staliśmy przy tym ogniu, widzieliśmy, co się dzieje. Wszędzie panuje nieład, gestykulujący tłum mieszkańców wydaje okrzyki radości. Nikt nie sądzi, by Niemcy mogli wrócić do miasta. Co bardziej „przedsiębiorczy” wyciągają z ognia płonących budynków niemieckie towary, a nawet rozpoczynają plądrowanie ponemieckich opuszczonych mieszkań. Zjawiają się także pospolicie szakale, którzy próbują (z powodzeniem i bez żadnych przyhamowań ze strony kogokolwiek) rozbijać i rabować sklepy. Przeciwdziałanie temu, jak zauważyliśmy – przez spontanicznie organizowane grupy pracownicze z grona osób dorosłych – dopiero się zaczynało. Ludzie z tych grup zaczęli przepasywać swe lewe przedramiona biało-czerwonymi opaskami. Te barwy czyniły na tłumie pewne wrażenie.

Ogólnie przecież – widzieliśmy obydwaj w centrum miasta – po opadnięciu euforii zapanował na ulicach, w sklepach, biurach, magazynach, w redakcji gadzinówki niemieckiej, także w mieszkaniach pozostawionych przez niemieckie rodziny – drapieżny rabunek. Tego rabunku, rozdrapywania mienia, dokonywali teraz Polacy; w 1939 roku i podczas samej okupacji dokonywali go Niemcy. Klęska, smutek, ubożenie jednych – oznacza zwycięstwo, radość i wzbogacenie drugich. Tyle tylko, że to Niemcy zaczęli ten proceder wojenny, nasi go teraz kończą...

Obrzydliwa jest ta panorama zachłanności i chciwości, którą wraz z Jerzym widziałem na ulicach, gdy nasi zrozumieli, iż okupanta już nie ma. Z wielkim przejęciem wypowiadaliśmy Mamie nasze oburzenie, tłumacząc, że złodziejstwo pozostaje nim bez względu na jego uzasadnienia. Dziękuję Bogu za to oświecenie w umyśle nastolatków, za to iż nikt w mojej rodzinie nie poszedł szabrować ponemieckiego mieszkania czy sklepu, także za wsparcie „czerwonych” w wypędzaniu nazistów. Jestem przekonany, że nic znaczącego w życiu człowieka, w narodzie, nie może się stać (dokonać) bez Jego

woli, przyzwolenia. Wiem też – nawet nie pojmuję skąd, od kogo... – iż rozbój i wykorzystywanie nieszczęścia innych, chociażby nazistów zasługujących na karę... nie tuczy.

Do ok. 9.00 we Włocławku nie było żadnych wojsk. Z ucieczki Niemców bardzo się cieszę, jak każdy Polak. Teraz już wiem, że tę wojnę przeżyliśmy naszą trójką, przeżyli także inni członkowie naszej włocławskiej rodziny. Co do mieszkających poza Włocławkiem – na informacje o tym trzeba nam będzie zaczekać.

O 9.00 udałem się z bratem na Plac Wolności od strony ul. Miedzianej, gdyż spostrzeżliśmy biegnących tam ludzi. Na Alejach F. Chopina stanęliśmy jak wryci. Z ul. P.O.W. (Kaliskiej) wysuwały się pierwsze czołgi Armii Czerwonej. Sunęły szybko, lecz z zachowaniem ostrożności. Po nich nadciągały samochody pancerne i szeregi piechoty, ubranej w ciepłe, jakby watawane stroje, z takimiż czapkami na uszy, udekorowanymi czerwonymi gwiazdkami. W dłoniach trzymali broń automatyczną z bębenkami (pepesze). Za czołgami, znakowanymi emblematami ZSRR, górą przeleciało kilka samolotów. Liczne tłumy Polaków, obydwu płci i rozmaitego wieku wraz z młodzieżą i dziećmi – witały przybyłych z ogromnym entuzjazmem jako wyzwolicieli spod okupacji.

Gdy piszę te słowa, cały Włocławek jest opanowany przez Armię Czerwoną (Sowietów). Nie zdołałem opisać radości z powodu wyrzucenia nazistów. Jest spontaniczna, żywiołowa i autentyczna, szczerą, nawet z elementami czułości. Na wynędzniałych twarzach mieszkańców wreszcie pojawił się uśmiech. Kobiety i mężczyźni płaczą z radości, wzruszenia, wymieniają serdeczne uściski z przybywającymi, co własną krwią nieśli nam ocalenie i wyzwolenie od hitleryzmu. Nam, chłopcom, także udziela się ów nastrój uniesienia, krzyczymy obydwaj głośno z radości, całujemy się bratersko, wszak przeżyliśmy wojnę. Słowa są zbędne i póki życia starczy, jestem pewien, nikt z tych wiwatujących na cześć zwycięzców owych chwil nie zapomni.

Już dziś wśród powyższych powitań widziałem robotnicze stráže z karabinami. Jak się dowiaduję, jest to nasza nowa policja z opaskami biało-czerwonymi na rękawach i napisami MO (milicja obywatelska, jak tłumaczono). Tychże „milicjantów” widuję przy bramach fabryk, biur, instytucji, przy sklepach, na placach. Już od godzin południowych skutecznie pilnują porządku, mienia, przeciwstawiają się rabunkom, nawet niszczeniu drogowiskazów w języku niemieckim. Tłumaczą, że pozostawione mienie nie jest „szwabskie”, ale nasze i musi być ochraniające dla nas samych.

Wielu spraw nie rozumiem, mam tylko szesnaście i pół lat życia. Jak pojąć: wchodzi Sowieci-Rosjanie a tworzą się... polskie władze? Ludzie mówią o powstaniu niepodległej Polski, której sojusznikiem ma być Związek Socjalistycznych Republik Radzieckich, z którym nasze państwo w 1920 roku już wojowało. Co to znaczy? Dowiem się na pewno.

Wtem zagrział donośnym głosem ton dzwonów kościelnych. Ich dźwięk melodyjny, dominujący z katedry, rozplątał się w błękitnym przestworzu i szedł w dal, wznosił się i opadał. Jego echo napępiało ludzi rozrzewnieniem, czarem uspokojenia oraz nadziei. Po tylu latach dni smutnych, ciemnych, bez nadziei... Kościół wita przybyłych, cieszy się z obalenia rządów nazizmu, swojsko, jak przed sześciu laty. Kościoły nasze nigdy za okupanta tak nie dzwoniły. Ten głos dzisiejszego południa ulica przyjęła burzą oklasków, okrzykiem radości, ze zrozumieniem powagi chwili. Zniewolony przez Niemca Włocławek budzi się, tknięty ręką przemian, na powrót do życia.

Taka jest prawda, chociażby nie do końca pojęta przez wygłodniałych mieszkańców. Naszej Mateczce także się ów nastrój udzielił. Już jest spokojna.

Włocławek, 21 stycznia 1945 roku (niedziela)

Dziś byłem nad Wisłą. Jakże smutny widok przedstawiał się moim oczom! Most łączący Włocławek z Zawisłem leży w gruzach, a właściwie jest zerwany przez niemieckich saperów przy obydwu nadbrzeżach. Jego środek, jak ktoś żywy wśród pola trupów, sterczy na dwóch filarach. Obydwa jego brzegi są doszczętnie zwalone do rzeki. Styl wysadzania jest akurtat odwrotny do tego zerwania owego mostu, który w 1939 roku zastosowali Polacy. Teraz widać odłamki żelaza, betonu, szczątki jezdnii z mostu rozrzucone w dużym promieniu. Podczas eksplozji spowodowały liczne szkody w budynkach przybrzeżnych, szczególnie na Bulwarach Józefa Piłsudskiego.

Tutaj stoją długim rzędem czołgi radzieckie. Za Wisłą w Szpetalach jeszcze znajdują się Niemcy w odwrocie. Niektórzy z wehrmachtowców oddają sporadycznie do tychże czołgów pojedyncze strzały z broni maszynowej, nie czyniąc tym młodym czołgistom (nawet 17-18-latkom) szkody. Masa polskiej młodzieży, także ze mną i Jerzym, z tymi czołgistami, niekiedy o rysach mongolskich (tatarskich) trwa w ożywionej rozmowie jakąś dziwną mieszaniną polskiego, rosyjskiego i gestykulacji. Wśród naszych rozpoznałem wielu z opaskami MO oraz robotników. Żołnierze dają nam chleb, puszkę metalowe z żywnością, suchary, a osobom starszym nawet machorkę do papierosów-skrętów zwijanych w kawałkach oddartego papieru. Stwierdzam z zadowoleniem, że wieści (czyje i w jakim celu rozsiewane nie tak dawno?) o „czerwonych diabłach, pijących krew dzieci” są zupełnie fałszywe. To strudzeni „wojaczka”, nienawidzący „Giermańca”, także pragnący pokoju i rychłego powrotu do swoich dalekich nieraz domów w Kazachstanie, Azerbejdżanie, Turkmenii, przyjaźni wobec Polaków chłopcy. Ujmują nas swą bezpośredniością i prostotą obejścia. Starsi z naszych piją do nich „gorzałku” – wódkę dużej mocy, bo

palącą się nawet na wietrze. Od tych „soldatów” dowiadujemy się, iż polscy żołnierze z orzełkami i w naszych mundurach są w drodze do Włocławka. Razem z „ruskimi” żołnierzami biją Hitlera. Tak to określają.

Oslupiałem z zaskoczenia. Niewiele tutaj wiemy o formowaniu polskich oddziałów w ZSRR, o czym już wspominałem wyżej. Na ogół cicho w fabryce i poza nią wzmiankowano raczej o Armii Krajowej, walczącej ponad 60 dni w Warszawie z udziałem jej mieszkańców w minionym roku – przeciw przeważającej liczbie Niemców.

Na Placu Wolności spotyka nas jeszcze jedno silne wrażenie. Wojska radzieckie (niektórzy mówią: sowieckie, czerwone, wschodnie) rozbiły w ten mroźny, chociaż słoneczny dzień rodzaj obozu, z komendanturą. Z jego kuchni polowych rozdawano naszym dzieciom, nastolatkom, kobietom mleko, chleb, suchary, kaszę, groch, grudy cukru. Nam najbardziej smakowała żołnierska grochówka. Gwar, rozmowy, mieszanina cywilów z wojskowymi – dopełniały obraz tej mozaiki odprężenia, radości, śmiechu a nawet pieśni. Niech nikt już mi nie plecie, iż przybyły dziś do Włocławka „diabły z Azji”...

Niestety, na ulicach dostrzegłem dziś i inną, bardzo przykrą rzeczywistość: wciąż trwa proceder złodziejstwa, wnoszenie przez naszych ze sklepów, magazynów, z biur towarów i czego się tylko da. Widziałem wnoszenie z mieszkań po Niemcach mebli i innego sprzętu. Już i o tym wspominałem. Rozumiem potrzeby ludzi, ale... W miejsce gospodarności, ochraniającego ocalałego po okupantach mienia – złodziejstwo i jego rozdrapywanie? Dziękuję za tak pojętą przemianę naszego życia, nie podpisuję się pod taką „rewolucją”. Niektórzy śmiali się z moich protestów związanych z tymi rabunkami, nawet mi grozili, żeby nie przeszkadzał, bo ponoć wszędzie i zawsze tak się czyni z mieniem pobitego wroga... Okropność! Patrząc na to zdziczenie obyczajów, charakterów ludzkich wyciągam dwa wnioski: mój obraz zachowań (świata?) nie jest z tej epoki; Polacy niewiele się nauczyli z przebytej niewoli i jej twardego życia.

Dopiero pod wieczór widzieliśmy na ogół młodych ludzi z opaskami barw narodowych i literami „MO”, którzy próbowali czynnie i w sposób zorganizowany przeciwdziałać rabunkom i złodziejstwu. Wątpię w skuteczność tych prób, ale zawsze one coś mogą wskórać. Złodziejstwo pozostaje złem bez względu na okoliczności jego dokonywania.

Może dlatego w duchu błogosławiłem wydarzenia, gdy w samo południe z wieży kościoła ewangelickiego przy ul. Brzeskiej odezwały się strzały do wchodzących wciąż i już stacjonujących wojsk „czerwonych” na Placu Wolności. Przynajmniej aż do wieczora znikło w mieście złodziejstwo. Ustąpiło miejsce dobrze już znanej trwodze, że Niemcy może przeciwnacierają. Lecz tylko na kilka godzin. Esesmani w liczbie ok. 30 osób, podobno i cywilni bojownicy NSDAP ukryci na wieży, otworzyli do zgromadzonego tu tłumu gęsty ogień z ciężkiej broni maszynowej. Zabili kilku oficerów i wielu żołnierzy Armii Czerwonej oraz kilkoro cywilów-Polaków. Nie widziałem trupów, bo wraz z innymi cywilami pierchnąłem z placu (w kierunku ul. Miedzianej), ale z bratem widzieliśmy kontrakcję czołgistów. Oddali tylko dwa strzały w tę wieżę, ścinając jej czubek długości ok. 4 m, zabijając kilku z tych straceńców i resztę biorąc do niewoli. Ci Niemcy – nie mogąc znieść przegranej – po prostu podjęli ostatnią walkę za swego „Führera”, choć z góry była skazana na przegraną. Czy bohaterstwo w niesłusznej moralnie sprawie? Po rozbiciu wieży kościoła i oddziału esesmańskich desperatów Rosjanie zachowali na ulicach miasta przez co najmniej dwie godziny gotowość bojową czołgów do walk ulicznych. Szczęśliwie do nich nie doszło.

Włocławek, 22 stycznia 1945 roku (poniedziałek)

Do Włocławka wstąpiły czołowe oddziały Wojska Polskiego, uformowanego w Związku Radzieckim. Dziś, jak opowiadają, przybyły tylko szpice, z czołgami, jutro będą główne siły. Mimo wcześniejszych wiadomości o przybyciu naszych zielonych mundurów drgnąłem na widok pierwszego polskiego żołnierza z bronią i nie tylko ja ucieszyłem się tym widokiem. Odrzuciłem natrętną myśl, że może ci sami Polacy w sierpniu 1944 roku stali na Pradze warszawskiej, gdy nasi powstańcy ginęli. Myśl ta tak dalece mną wstrząsnęła, że odwróciłem się od polskich żołnierzy, aby pójść do domu...

Zrobiłem kilka kroków, gdy znów stanąłem jak wryty. Jak okiem sięgnąć, w oknach budynków powiewają biało-czerwone sztandary, powiewają dumnie na miejscach, gdzie jeszcze przed dniami górowała odznaka swastyki. Widok był wzruszający, pozwolił mi otrząsnąć się z niechęci wobec polskiego żołnierza z orzełkiem bez korony. Przecież on w trudzie walk szedł z daleka i doszedł do włocławian, niosąc nam ocalenie. Teraz mieszkańcy miasta przyjmują nasze sztandary z ogromną radością i żadne pytania nie mogą jej pomniejszyć... Uczułem teraz jakby zawstydzenie, że tym naszym żołnierzom usiłuję w myślach ująć patriotyzmu i bohaterstwa. O przewrotności ludzka! Śmiać mi się chce, gdy piszę teraz wieczorem swe wrażenia sprzed godzin. Wraz z innymi sprawdziłem język mówiony tych polskich żołnierzy, miotaly mną wątpliwości. Najważniejsza ma być tutaj... korona w orzełku? Jest źle, że idą od Wschodu? Jakoś tych z Zachodu nie widać. A swoją drogą muszę się dowiedzieć, czy nasi sprawdzali w 1914 lub 1918 roku język mówiony ochotników kadrówki, legionistów J. Piłsudskiego, generała Józefa Hallera...”